NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 24 czerwca 1905 r. Nr. 26.

Katastrofa w hotelu Belle-Vue we Lwowie.

(Do artykułu na str. 2).



Od Redakcyi.

Numerem niniejszym kończymy pierwsze półrocze bieżącegoro ku. Staraliśmy się o ile możności dawać jak najbardziej interesujący obraz chwili w każdym numerze „Nowości Illustrowanych“ i to nam się w znacznej części udało, czego dowodem jest rozpowszechnienie naszego pisma. Mamy nadzieję, że pismo nasze stanie się wkrótce najpoczytniejszem pismem w naszym kraju. My ze swej strony dołożymy wszelkich starań, aby „Nowości Illustrowane“ rozszerzać i powiększać. Resztę pozostawiamy poparciu czytelników.

Prosimy więc o rozszerzanie naszego pisma i odnowienie prenumeraty, która wynosi:

kwartalnie 4 korony
półrocznie 8 koron
rocznie 16 koron

Za każdą zmianę adresu należy przesłać administracyi 40 halerzy. *Redakcya.*

Katastrofa w hotelu Belle-Vue we Lwowie.

(Do illustracyi tytułowej).

Nieostrożność jest niejednokrotnie przyczyną wielkich katastrof. Mały na pozór wypadek, spowodowany nieuwagą lub zapomnieniem, przyprawia czasami o śmierć setki osób.

Przed kilku dniami zaszedł we Lwowie wypadek, również nieostrożnością spowodowany, którego ofiarą padło cztery osoby, między niemi jedna kobieta. Przebieg katastrofy był następujący:

Przed godziną siódmą rano wszedł do sali maszyn dla oświetlenia elektrycznego w hotelu Belle-Vue przy ul. Karola Ludwika pod l. 27 palacz maszynowy, Karol Dyszkiewicz. Poczuwszy silny odor gazu świetlnego, powrócił natychmiast na dziedziniec hotelu i zawezwał pracujących tam przy budowie kanału robotników, Wasyla Semiutę i Jana Bednarza, aby, wziąwszy ze sobą nieco cementu, udali się z nim do hali maszyn, celem zalepienia otworu, którym się gaz wydobywał.

Semiuta i Bednarz wzięli więc baniak z cementem i w towarzystwie Dyszkiewicza oraz drugiego palacza maszynowego, Michała Świętockiego i żony dozorcy tej kamienicy Agaty Płutowej, udali się do hali maszyn. Dyszkowski począł szukać otworu, którym się gaz wydobywał, posługując się płonącą zapałką. Wówczas nastąpił wybuch, którego siła była tak wielką, iż wszyscy padli na ziemię. Nie stracili jednak przytomności, pomimo bólu, jaki im sprawiały silne poparzenia, odniesione od płonącego gazu, ale rzucili się ku drzwiom i wydostali się na dziedziniec. W hali tymczasem wszczął się pożar, który jednak straż pożarna wkrótce ugasiła. Ciężko oparzonych Wasyla Semiutę, Bednarza i Świętockiego odwiozło pogotowie do szpitala powszechnego.



Fot. N. Lissa. Lwów.
Szach perski we Lwowie: Szach na balkonie hot. George'a.

Jakaż była przyczyna tego nieszczęśliwego wypadku? Prawdopodobnie podczas roboty około budowy kanału uszkodzono połączenie rur gazowych, położonych pod dziedzińcem hotelu, tak, iż uchodzący gaz mógł szczelinami łatwo się przedrzeć do hali maszyn. Winnym jest także Dyszkiewicz, który szukał otworu w ścianie z płonącą zapałką w ręku.

Ilustracya nasza przedstawia chwilę wybuchu gazu.

Szach perski we Lwowie.

W ubiegłym tygodniu przez środę, czwartek i piątek bawił we Lwowie szach perski Muzaffer-ed-Din, który zatrzymał się w stolicy Galicyi w przejeździe zagranicę. Cesarskiego gościa przyjął Lwów bardzo uroczyście i z wielkiem zaciekawieniem. Po powitaniu władcy Persyi na dworcu kolejowym przez namiestnika, komendanta lwowskiego korpusu i reprezentantów władz, rozpoczął się wjazd do miasta. Długi szereg pojazdów otwierał powóz, wiozący wiceprezydenta miasta Michalskiego i radnego Riedla; w następnym jechał zastępca dyrektora policyi radca Wenz, dalej wiceprezydent namiestnictwa Włodzimierz hr. Łoś, poprzedzając pojazd, wiozący szacha, obok którego zajął miejsce po lewej ręce namiestnik, Andrzej hr. Potocki; w następnym powozie jechał syn i wnuk szacha, w dalszych członkowie świty.

Szach stanął w hotelu Georgea, powitany przez właściciela hotelu p. Brzezickiego. Hotel cały, a zwłaszcza apartamenta, przeznaczone dla szacha i jego świty, były wspaniale dekorowane i urządzone ze wschodnim iście przepychem. Ogółem zajął szach w hotelu 67 pokoi. Przez dwa dni bawił szach we Lwowie. Zwiedził całe miasto i w piątek odjechał dalej na zachód. Wieczorem w piątek przejeżdżał władca Persyi przez Kraków.

Szach Muzaffer-ed-Din, syn Nasr-ed-Dina, zamordowanego 1 maja 1896 roku przez fanatycznego sekciarza, urodził się 25 marca 1853. Objąwszy rządy po śmierci ojca, rządził początkowo sam, dopiero w r. 1898 ustanowił radę ministrów, składającą się z 8 członków, którzy obecnie dzierżą wraz z nim ster rządów. Pełny tytuł szacha brzmi: „Szach szachów (król królów), którego sztandarem jest słońce, święty, wzniosły i wielki monarcha, władca nieograniczony i cesarz wszystkich państw perskich“.

Muzaffer-ed-Din bawi już trzeci raz w Austryi. Przedtem był w latach 1901 i 1902. Kiedy w roku 1901 bawił w Paryżu, miał tam przygodę, która go dla naszego świata cywilizowanego bardzo nieprzychylnie usposobiła. Oto jeden z jego dworzan dopuścił się jakiegoś przewinienia, za które szach skazał go na ścięcie głowy i polecił służbie, aby wyrok ten bezzwłocznie wykonała. Ale w tę doraźną judykaturę wdały się władze francuskie i nie dopuściły do egzekucyi wyroku. Szach był niemało oburzony tem, że mu zabraniają własnym poddanym łeb ścinać, co w Persyi jest codziennym chlebem dla jego poddanych. Z biedą wytłumaczono mu, że na ziemi francuskiej obowiązują francuskie ustawy. Odłożył zatem egzekucyę do powrotu do kraju, ale delikwent jeszcze w Paryżu drapnął. Szach długo nie mógł zapomnieć o tem, że mu Francya nie pozwoliła na ucięcie głowy dworzaninowi, co się nawet później odbiło na stosunkach dyplomatycznych.

Podajemy obok fotografię władcy Persyi w otoczeniu świty oraz momentalne zdjęcia z przejażdżki szacha po Lwowie.



Szach perski we Lwowie: Szach wsiada do pojazdu, udając się na przejażdżkę po Lwowie. Fot. Kordyan“. Lwów



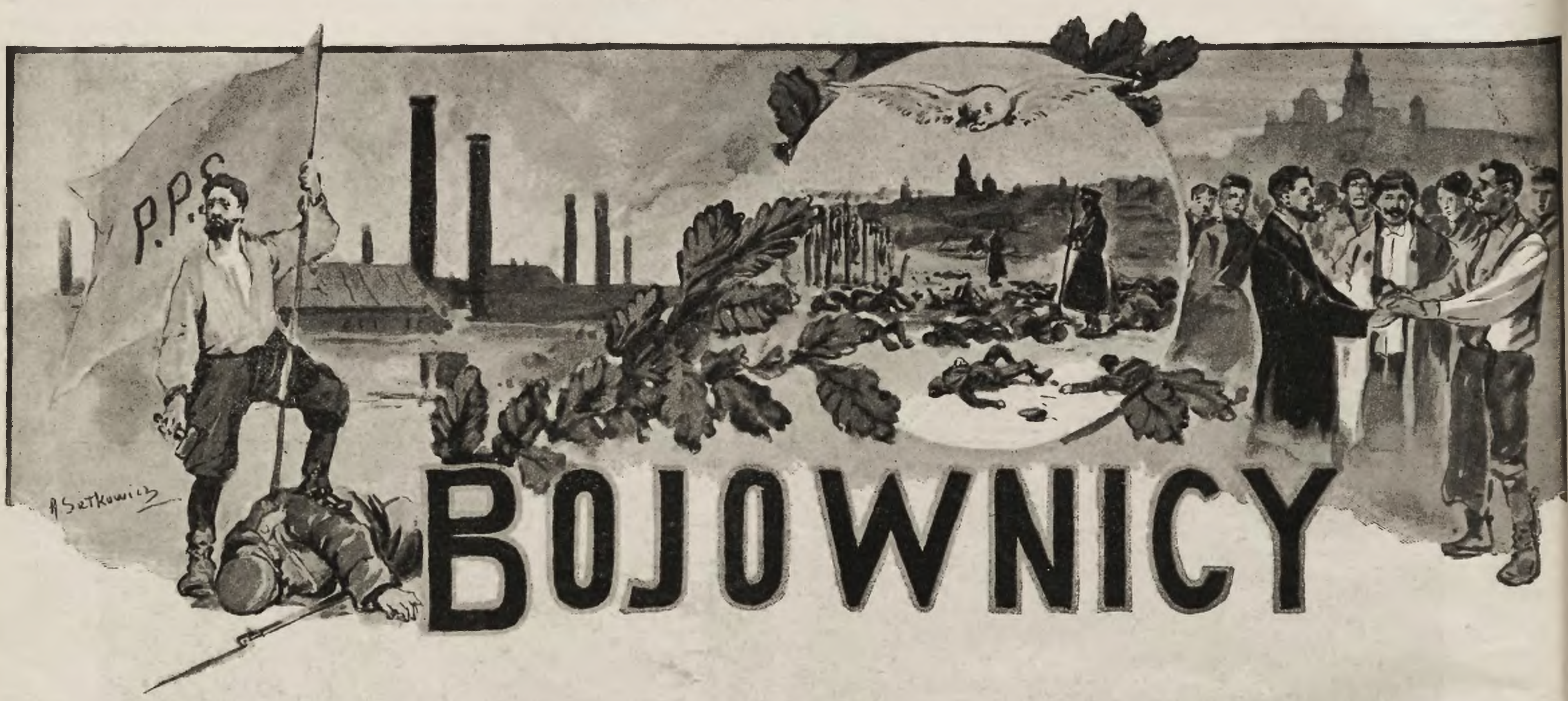
Fot. „Kordyan“. Lwów.

Szach perski we Lwowie: Szach i część jego świty przy herbacie na Wysokim Zamku we Lwowie: 1. Szach. 2. Syn. 3. Wnuk. 4. Wielki wezyr.



Fot. Brodkowski. Lwów. (Wykonał p. Andrzej Dybuś).

Szach perski we Lwowie: Szach wraz z synem, wnukiem i świtą zwiedza Panoramę racławicką na placu powystawowym: 1. Szach. 2. Wielki wezyr. 3. Syn szacha. 4. Wnuk szacha. 5. Namiestnik hr. Potocki.



POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

4 (Ciąg dalszy).

— To zależy, czasem bardziej krępują, aniżeli narzucone... są to zresztą osobiste przekonania... Czy dawno znacie Żaleckiego?

— Trzeci rok, od czasu, gdy jestem na uniwersytecie. On o rok dłużej chodzi, ale... zawsze tak samo się ubierał.

— Mieliście inne „ale" na myśli – uśmiechnęła się Olga.

— Tak jest. On dopiero w roku zeszłym przystąpił do partyi.

— A wy?

— Ja sympatyzowałam zawsze z partyą, ale jakoś nie przyszło do wpisania się w jej szeregi. Czytałam dosyć ich broszur, książek... dopiero dziś zdecydowałam się na zerwanie z narodowcami.

— Z przekonania?

— Po części tak... ale prawdę mówiąc, zapał Żaleckiego mnie pociągnął... a może naprawdę socyalizm zapełni mi pustkę życia, którą czasem czuję.

— Któż z nas jej nie miewa — westchnęła Olga.

— O, mężczyźni jej nie miewają — śmiała się — tym nie zabraknie rozrywek... Ale otóż i nasza kawiarnia!

Weszli na pierwsze piętro, do wielkiej sali zapełnionej małymi, krągłymi stolikami z kanapkami przy ścianach, a w środku stały dwa bilardy, z których jeden był zajęty. Przy stolikach tu i ówdzie siedzieli goście z gazetami w ręku i na zrobiony rumor podnieśli leniwie oczy. Zobaczywszy jednak młode panny, ożywili się, a spostrzegłszy młodych towarzyszy, uśmiechali się drwiąco. Jeden z nich, nałożywszy binokle, spojrzał krytycznie na przechodzące i rzekł z lekceważeniem w głosie:

— To studentki!

W sali owionęło ich gorące powietrze, przepełnione niezdrowemi wyziewami tytoniu, kawy, tłuszczu mlecznego i jakichś chorobliwych podnieceń.

W mniejszym, ubocznym pokoju było cokolwiek chłodniej, gdyż paliła się tylko jedna gazowa lampa. Usługujący zapalił kinkiet z trzech lamp i struga światła padła na pokój z licznymi stoliczkami, kanapkami i krzesłami.

Na ścianach, pomalowanych w cudaczne desenie, mające naśladować styl modny, wisiały trzy obrazy oleodrukowe. Jakiś widok opuszczonego młyna, i dwa wizerunki kobiet, których suknie nie starczyły na zakrycie nagości, obie udawały zalotność i sztuczną wstydliwość.

— Tu będzie nam dobrze! — zawołał Waldman — poprzesuwamy stoliki sami... a pan niech sobie odpocznie — zwrócił się do garsona, człowieka starszego.

— Niech pan pozwoli, ja to zrobię — zaczął garson przesuwać stoliki, ustawiać krzesła.

I gdy inni rozmawiali ze sobą, Waldman, wziąwszy na siebie rolę gospodarza:

— Jeśli panu mówię, że sam to zrobię, to pan powinien być kontent, i tak wyzyskuje pana ten burżuj, kawiarz. A ile pan zapłacił dziś do puszki? — śmiał się głośno.

— Ile zapłaciłem, to moja rzecz, ja nie zaglądam do cudzej kieszeni.

— Co to jest? — oburzył się Waldman tak głośno, że inni zwrócili uwagę — jeśli ja do pana grzecznie, to pana obowiązkiem grzecznie odpowiadać.

— Niechże się nikt nie miesza do moich spraw i nie wymyśla gospodarzowi, u którego służę... co pan każe przynieść?

Waldman zaperzył się i z gniewem:

— Jeszcze raz mówię panu, że kawiarz wyzyskuje pana i pan, jako człowiek wolny, powinien się oburzać na to, a nie być pokornym niewolnikiem. Rozumie mnie pan teraz?

— Nie jestem tu do rozmowy, tylko do usługi. Co państwo każą? — odwrócił się tyłem do Waldmana z ostentacyą.

— Spodlony niewolnik — mruknął Waldman.

Garson zmierzył go wzgardliwie i odbierał polecenia gości.

Gdy wyszedł, rzekł Żalecki z wymówką:

— I co za sens wszczynać kłótnię?

— Myślałem, że to człowiek, a to bydlę — bronił się Waldman.

— Taki człowiek, jak i ty — powiedział twardo Żalecki — tylko innych przekonań i te trzeba uszanować.

— Może i każdego burżuja — mruknął Waldman.

Przyniesiono zamówione napoje, a Olga, popijając herbatę, miała czas przyjrzeć się zebranym.

Na kraju zestawionych stolików siedziała ładna brunetka, w ciemnopopsowej aksamitnej bluzce, a z pod filcowego, ciemnego kapelusika, spadały w puklach czarne, krótkie włosy.

— Kto ona? — szepnęła do sąsiadki, Heleny.

— Jest na niemieckiej literaturze, Fanny Baumritt, córka tutejszego kupca.

W tej chwili studentka, o której mówiły, z błyszczącemi oczyma, odsłaniając w uśmiechu białe, równe zęby, zawołała do dalej siedzącego Edmunda:

— Kolego Wojtyrski, cóż wy na tę zabawną awanturę na ostatniej wycieczce?

— Niepotrzebnie ta koleżanka znikła z uniwersytetu.

— Ja się jej nie dziwię — odezwała się Matylda Eisenfach, trochę piegowata, z ostremi rysami twarzy — po takiej publicznej kompromitacyi, co jej pozostawało?

— Mogła zostać ta Molska — powiedziała Baumritt z drwinami — a kolega Wojtyrski byłby ucieszony.

— Co za przyjemność poruszać brzydkie sprawy i w dodatku wymieniać nazwisko — przemówił zwolna Schweiger, młody, trochę zgarbiony student, blady, mizerny, brzydki, tylko czarne oczy w zaczerwienionych powiekach błyszczały rozumnie.

— O, nasz uczony nareszcie zagadał — zaśmiała się Fanny — ale kolega broni jej, co to znaczy?

Spojrzał na nią surowo i rzekł dobitnym głosem:

— To znaczy, że ona nieświadomie, bo była pijana, popełniła głupstwo słowne, a inne... no, bywa różnie — kończył cichszym głosem i zajął się swą kawą.

— Cóż to za przygoda? — szepnęła Olga.

— Na wycieczce uraczyła się zanadto i zaczęła głośno się zwierzać... z różnych... tajemnych rzeczy. Rozumiecie, że po tej spowiedzi publicznej... nie mogła zostać.

— Czy skompromitowała kogo? — spytała, mając na myśli tajemne związki rewolucyjne w Rosyi.

— Ależ nie — uśmiechnęła się Helena — to jej osobiste pożądania, chęci.. marzenia...

— Ach, rozumiem! — i mimowoli zarumieniła się — to okropne i kto ją spoił?

— A któżby? Koledzy, no i sama dla rozweselenia się...

— Żałuję jej — westchnęła Olga.

— Sama sobie winna — mruknęła twardo.

Mężczyźni zapalili papierosy, i całe towarzystwo rozmawiało półgłosem, prócz Żaleckiego, miętoszącego od czasu do czasu swą wielką czuprynę, i przechadzającego się po pokoju smukłego szatyna, z krótko obciętemi, niemal przy skórze włosami, a ciemna, nierówna broda okalała twarz ładną, młodą, z tęsknym wyrazem w ciemnych, marzących oczach. Był to Stanisław Walczak, słuchacz przyrody, który nagle zbliżył się do stołu i rzekł surowym głosem:

— Może wy macie czas rozgadywać się po próżnicy, ale na mnie czekają lekcye. Jeśli macie co postanowić, to dobrze; a nie, to pójdę.

— O cóż koledze idzie? — zdziwił się jeden z uczestników — siadajcie, wypijcie kawę...

— Na takie zbytki mnie nie stać... ano, dalej do roboty! Zerwaliśmy z narodowcami, to i dobrze, a dalej co? Czy mamy, jak to bydło bez pastucha, rozleźć się po polach i ugorach?

— Ładne porównanie — zaśmiała się drwiąco Fanny Baumritt i zagryzła ładne usta.

— Idzie o treść, nie o formę — odpowiedział z miejsca — zatem co będzie?... Żalecki, powiedzcież mądre słowo.

Ten spojrzał z pewnem wahaniem po całem towarzystwie, gdy Edmund wstał i rzekł tonem stanowczym:

— Tu niema się co namyślać, zakładamy nowe, nasze, socyalno-demokratyczne towarzystwo!

Odezwały się głosy uznania, czem zachęcony, mówił dalej:

— Sądzę, iż jasną jest rzeczą, że nasze towarzystwo musi być tajnem.

— Oczywiście! naturalnie! – posypały się skwapliwe potwierdzenia.

— A więc żadnych podań o pozwolenie. Ale jakiś punkt zborny mieć musimy. W prywatnem mieszkaniu będzie nam ciasno i niewygodnie, bo dziś jest już nas piętnastu, a z wszelką pewnością będzie nas wkrótce więcej. Komorne za jeden pokój nie tak bardzo nam zaciąży.

— Prawda!

— Zakładamy kółko partyjne!

— Zgoda! — zawołali ci i owi.

— Słowa nic nie kosztują — przemówił Wal-

czak — a projekta i plany szybko się rodzą. Idzie o wprowadzenie w czyn. Czy koledzy dziś zakładacie kółko?

— Naturalnie... zaraz! — zawołał z zapałem Waldman.

— A więc siadam i słucham — przyniósł sobie krzesło i siadł opodal Żaleckiego.

— Jak się nazywa ten kolega? — szepnęła Olga.

— Stanisław Walczak, na filozofii teraz, a był dwa lata klerykiem w seminaryum.

— Oryginalny człowiek.

— Powiedzcie raczej dziwak — rzekła z pewną zaciętością Helena — a że syn chałupnika, zdaje mu się, że wolno mu więcej, aniżeli komubądź innemu.

— Nie lubicie go?

— To egoista bez serca — mruknęła.

— Zaczynajmy! — zawołał Walczak, przysłuchujący się dotychczas cierpliwie pospiesznemu obliczaniu możliwych członków — kolega Żalecki ma głos... Cicho!

— Założenie nowego towarzystwa — przemówił Żalecki — jest połączone ze znacznemi wydatkami. Nie dość nająć pokój, kupić jakie takie meble, lampy, ale trzeba opalić, posprzątać, no i prenumerata pism, zakupno książek, bo przecież nie dla zabawy, ale dla wzajemnej nauki i wykształcenia mamy się zbierać. Jest nas piętnastu i pierwszy wysiłek musi być znaczny, aby ponieść przedwstępne koszta. Uznając potrzebę założenia naszego kółka, nie wiem, czy nie przekroczy ono naszych środków i czy nie będzie praktyczniej wpierw zebrać miesięcznemi składkami potrzebną kwotę.

— Mojem zdaniem niema co zwlekać — odezwał się Edmund — każdy zna stan swojej kasy, niech deklaruje, ile może dać, wówczas obliczymy i dowiemy się, czy możemy przystąpić do zawiązania.

— Słusznie!

— Zgoda!

— Kto pisze?

— Ja będę sekretarzem — zawołał Waldman i zwracając się do garsona:

— Proszę o papier, pióro i atrament.

— Czy mam przynieść listowy?

— Ja nie z tych — zaśmiał się Waldman drwiąco — którzy liściki miłosne piszą w kawiarniach. Czy dużo macie takich?

— Nie wiem... jaki papier?

— Zwykły... i proszę zamknąć drzwi.

— Pokój dla wszystkich gości, nie mogę zamykać.

— Jeśli ja mówię, że można, to można; zapłacę za to.

— Nie wolno mi zamykać.

— Proszę mi zawołać gospodarza, ja z nim pomówię, nie z panem.

— Gospodarz zajęty, może pan sam pójdzie.

Waldman poszedł i za chwilę wrócił z tryumfującą miną.

— Proszę zamykać, tak pan kazał.

— Dobrze, tylko przyniosę papier.

— Słuchaj Waldman — rzekł zwolna Schweiger, prostując się — ty niepotrzebnie tak się rozbijasz, jak kapitalista... pamiętaj, że kelner to obywatel, to robotnik, i nasze zasady nie pozwalają na pomiatanie człowiekiem pracującym.

— Dobrze, już dobrze — mruknął.

— Nie jest dobrze, ale jest źle. Już tobie powiedział kolega Żalecki, teraz ja ci to mówię... a ty sobie zamarkuj w pamięci nasze słowa.

— Kolega Schweiger ma racyę — uznał głośno Walczak, co też i inni potwierdzili.

Waldman nie stracił dobrej miny i na przyniesionym papierze wypisał:

— Na założenie kółka socyalno-demokratycznego złożyli.

— Ja wpisuję siebie pierwszego... Daję dwie korony — wyjął portmonetkę i zrzuciwszy z talerzyka bułki, położył głośno.

Spojrzał nie bez wewnętrznego zadowolenia na towarzyszy, ci jednak zupełnie obojętnie przyjęli jego oświadczenie, wiedziano bowiem, że ojciec przysyła mu dość znaczną kwotę na utrzymanie, tylko Matylda Eisenfach powiedziała z przekąsem:

— Czy zrujnują was dwie korony?

— Niech tylko każdy da i zapłaci gotówką... już będzie dobrze... No, koledzy, kto daje?

— Piszcie mnie — odezwał się Edmund — cztery korony — i złożył na stole.

— Ja pięć koron — powiedział Żalecki — i przepraszam was, że tak mało, ale to połowa miesiąca.

— Zapiszcie mnie z dziesięciu koronami — rzekł spokojnie Walczak.

Waldman wpatrzył się niedowierzająco w mówiącego, i wszyscy spojrzeli ciekawie, bo wiedzieli, że boryka się z biedą, tu kawy sobie odmówił, a daje dziesięć koron.

Walczak, składając pieniądze, spostrzegł to ogólne zdziwienie, poczerwieniał i rzekł szorstko:

— Czy ja nowa brama, że się tak wpatrujecie?... Dziś zapłacono mi za lekcye... — usiadł ciężko na krześle.

Schweiger nie zwracał uwagi na otoczenie, lecz rozpiąwszy znoszoną marynarkę, pilnie przeszukiwał swe kieszenie i na kupkę składał drobne pieniądze srebrne, niklowe, miedziane. Gdy jeszcze raz dotknął wszystkich kieszonek i kieszeni, zapiął marynarkę i rzekł cichym głosem:

— Waldman... tu jest trzy korony, dwadzieścia siedm halerzy... przelicz dobrze, może się omyliłem.

Wezwany wyciągnął dość brudną rękę i począł zgartywać monetę, a widząc z boku dwadzieścia pięć halerzy, chciał i te zabrać.

— Tego nie rusz — zawołał Schweiger niezwykle żywo — to za kawę wypitą.

Z kolei zwrócił się Waldman do Fanny Baumritt:

— A wy koleżanko?



...poprzesuwamy stoliki sami... a pan niech sobie odpocznie — zwrócił się do garsona...

— Ja? — zarumieniła się lekko — ja nie mam przy sobie... jutro... albo może koleżanka Browicz pożyczy mi dwie korony... oddam pojutrze.

— Nie mogę pożyczyć — odpowiedziała chłodno.

— Ja pożyczę koleżance — ofiarował się Edmund z gotowością — ile?

— Dwie korony... oddam z podziękowaniem — uśmiechnęła się mile.

— A koleżanka Eisenfach?

— Korona dwadzieścia pięć halerzy — położyła drobnemi.

— Osiem koron zapiszcie na mnie — rzekła Helena Borwiczówna.

— Składam trzydzieści koron — mówiła zarumieniona Olga.

Spojrzano na nią ze zdziwionem uznaniem, a Waldman udając, że nie dosłyszał, spytał jeszcze raz, czuł bowiem pewną dumę, że bogata koleżanka należy do ich grona.

Gdy usłyszał potwierdzenie, rzekł uradowany:

— No, nasze kółko już jest.

Żalecki spojrzał bacznie na nią i szepnął:

— Za wiele.

A Walczak mruknął dość głośno:

— Ambicya czy zapał?

— Koledzy i koleżanki! — zawołał Waldman — nas dziewięciu dało już sześćdziesiąt pięć koron, pięćdziesiąt dwa halerze, no, a sześciu jeszcze nie złożyli. Co dajecie kolego? — zwrócił się do sąsiada.

Obliczono wreszcie składki, które wyniosły kwotę: siedmdziesiąt koron, dwadzieścia dwa halerze.

— W domu mego wuja jest ładny frontowy pokój do wynajęcia — rzekł Waldmam — możebyśmy się tam pomieścili. On idzie trzydzieści koron, ale ja może wytarguję za dwadzieścia osiem, a stróżka z rozkazu wuja będzie nam bezpłatnie usługiwała. Co myślicie, koledzy?

— Gdzie ten dom? — spytał ktoś i w odpowiedzi usłyszał, że jest przy ulicy, leżącej wśród dzielnicy żydowskiej.

— Ja znam ten dom — mówił zwolna Schweigez — tam brudno, ciasno i dużo lokatorów. Ja nie radzę.

— Co kolega wygadujesz? — zawołał Waldman z gniewem — dom nowy i ładny, ale kolega przyzwyczajony do pałaców — zaśmiał się złośliwie — to koledze śmierdzi zwykły pokój.

Schweigerowi zabłysły oczy, już miał odpowiedzieć, gdy odezwał się Żalecki:

— Musimy szukać pomieszczenia bliżej uniwersytetu... aby nie tracić czasu na bieganinę. Zresztą to sprawa drugorzędna. Ważniejsza rzecz. czy i jakie statuty nas obowiązują.

Wśród chwilowego milczenia przemówił zwolna Schweiger.

— Co to jest statut? To jest zewnętrzne określenie formy i warunków naszego towarzystwa. Ale my musimy dążyć do jednolitości nie formy, lecz samej treści rzeczy. I dla nas tym cementem może być, powinien być i musi być tylko i jedynie „manifest komunistyczny“; tam są nasze obowiązki jasno i wyraźnie nakreślone, i to nie przez małych ludzi, ale olbrzymów świata, przez Karola Marxa i Fryderyka Engelsa... Wzywam kolegów, aby uznali manifest komunistyczny, który zrodził socyalną demokracyę, za podstawę wszystkich naszych działań.

— Kolega Schweiger wolno mówi — zaśmiała się Fanny Goldkorn — ale dobrze. Czy koledzy godzą się na manifest?

— Zgoda... Zgoda...

— A więc do statutu! — zawołała Eisenfach.

— Ja radzę — podjął Edmund — zostawić kwestyę statutu na później, gdy będziemy mieli własny lokal; dla porządku zaś i wewnętrznego gospodarstwa potrzeba nam obrać przewodniczącego. Sądzę, że będę wyrazem wspólnych chęci, prosząc kolegę Żaleckiego o przyjęcie przewodniczenia.

— Naturalnie... prosimy...

— Przyjmuję ten obowiązek — powiedział spokojnie — lecz wybierzcie koledzy jeszcze skarbnika, gospodarza i dwóch wydziałowych, aby byli pomocą. Na skarbnika proponuję kolegę Stanisława Walczaka.

— Odmawiam — zawołał szorstko i już łagodniej: — mam dużo bieganiny po lekcyach i egzamin na karku. Nie mogę.

Nastało chwilowe milczenie, i zebrani oczyma szukali kandydata. Waldman zakręcił się niespokojnie na krześle, chcąc zwrócić na siebie uwagę, a gdy nikt nie stawiał kandydata, rzekł śmiało:

— Ja mogę być skarbnikiem.

Na wielu twarzach odbiło się niezadowolenie, a Żalecki z uśmiechem:

— Kolega Waldman będzie lepszym gospodarzem, aniżeli skarbnikiem, gdyż jest oszczędny i zapobiegliwy.

— Tak,.. Tak... Gospodarz!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Piąty zlot okręgu sokolego w Brodach: Ćwiczenia wolne zastępów sokolich na boisku.

Bunt więźniów w więzieniu złoczowskiem.

Nie najlepsza jest dola więźniów, przebywających w więzieniach galicyjskich. Zachodzą tam wypadki, które wskazują na zupełną niezrozumiałość celu więzień przez władze. Boć więzienie ma być nie tylko karą, ale ma być takie, aby w więźniu obudziło poczucie jego godności osobistej, poczucie, że lepiej jest żyć dobrze i dobrze postępować, aniżeli uprawiać zbrodniczy proceder. W ubiegłym tygodniu mieliśmy aż dwa takie wypadki, a mianowicie powieszenie się więźnia Guziana w krakowskim zakładzie karnym, oraz bunt więźniów w więzieniu w Złoczowie.

Więzienie złoczowskiego sądu obwodowego jest umieszczone w murach starego zamku, który leży poza obrębem miasta i stanowi ze swoimi podmurowanymi wałami jeszcze dziś małą warownię. Dnia 8 bm. o godzinie pół do dziewiątej wieczorem aresztanci rozpoczęli naraz we wszystkich kaźniach wyłamywać drzwi celi, bić szyby i niszczyć sprzęty Dozorcy musieli cofnąć się na dziedziniec i obsadzili tam bramy, chcąc przeszkodzić ucieczce więźniów. W czasie tumultu zraniono lekko jednego z dozorców. W tej chwili przybyło zawezwane pół kompanii wojska, a wkroczywszy na dziedziniec wezwało zbuntowanych do spokoju. W odpowiedzi na to posypał się na żołnierzy grad kamieni i odłamków z cegieł. Wówczas wojsko dało kilka pojedyńczych strzałów, które zraniły ciężko jednego więźnia, a dwóch lekko. Dopiero około północy przywrócono spokój. Opornych skuto i zaprowadzono napowrót do cel, ponieważ zaś większa część drzwi na korytarzach i w kaźniach została wyłamaną, wojsko strzegło gmachu więziennego przez całą noc.

Do złoczowskiego więzienia przeznaczają zazwyczaj najoporniejsze jednostki, rekrutujące się z szumowin społecznych najgorszego gatunku, które dla braku miejsca nie mogą być pomieszczone w karnych zakładach lwowskich. Więźniowie ci stawiają zawsze najrozmaitsze żądania, o ile możności spełniane lub niespełniane przez zarząd, stąd ciągle powstają tam rewolty, z których najgroźniejszą była opisana powyżej, spowodowana podobno złym wiktem i surowością dozorców. Musi tam jednak więźniom być rzeczywiście źle, jeśli, wiedząc doskonale o skutkach swojego nieposłuszeństwa, buntują się.

Na ilustracyi naszej przedstawiona jest chwila, kiedy żołnierze dają ognia do zgromadzonych na dziedzińcu więźniów.

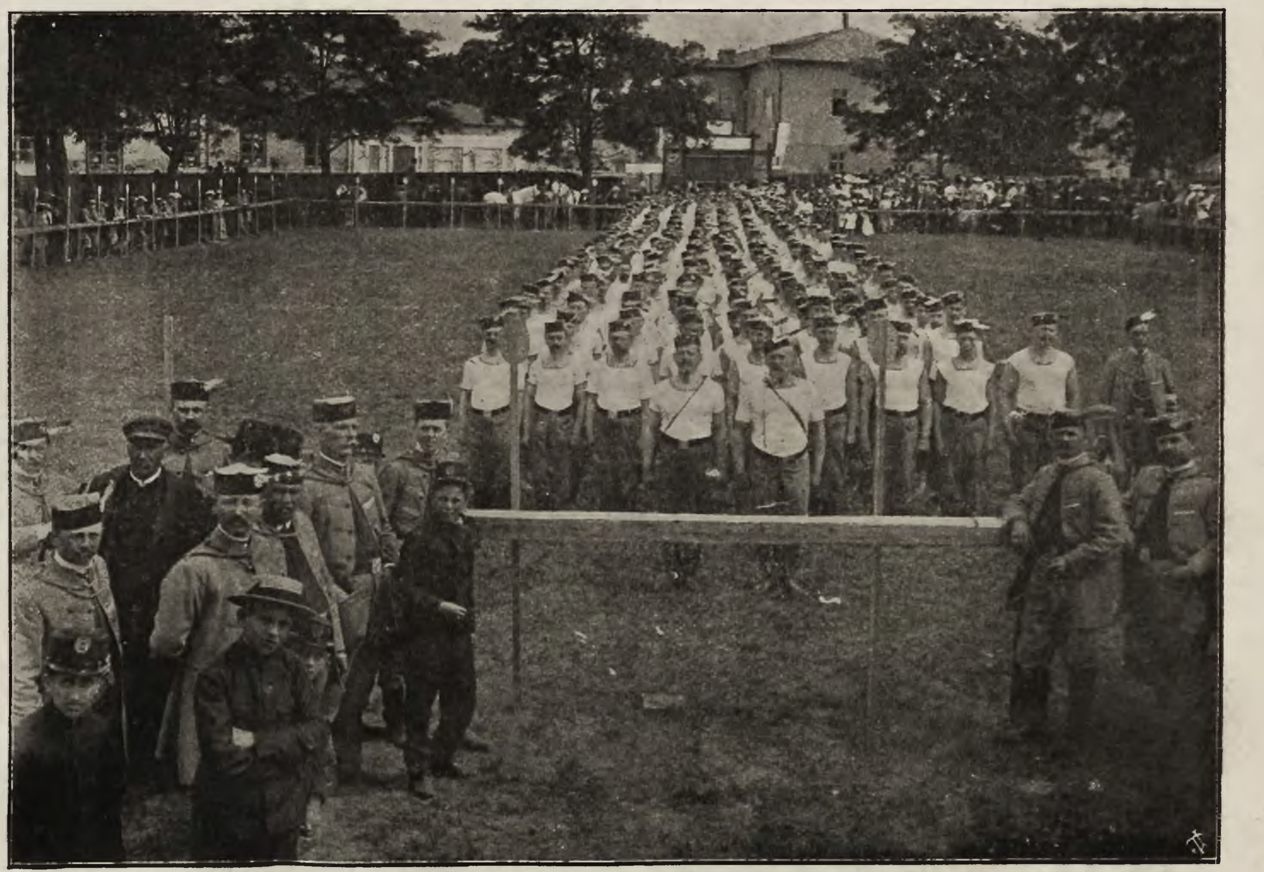


Bunt więźniów w więzieniu złoczowskiem: Wojsko atakuje zbuntowanych więźniów na dziedzińcu więziennym.

Piąty zlot okręgu sokolego w Brodach.

Niema dziś w Galicyi miasta ani miasteczka' gdzieby nie miał gniazda swego „Sokół". Społeczeństwo zrozumiało w krótkim stosunkowo czasie, że odrodzenie jego zależy zarówno od rozwoju moralnego, jak i fizycznego, który właśnie racyonalnie i umiejętnie pielęgnuje towarzystwo „Sokół". Lecz nie tylko na tem ogranicza się zbawienna działalność „Sokoła". Przyzwyczaja on do karności, posłuszeństwa i solidarności swoich członków i przygotowuje z nich dzielne zastępy obywatelskie. Społeczeństwo całe śledzi zawsze z wielkim zainteresowaniem wszystkie sprawy, dotyczące sympatycznego Towarzystwa. Zapewne więc z zadowoleniem dowiedzą się Czytelnicy nasi o pięknym przebiegu uroczystości zlotu V okręgu sokolego w Brodach.

Wczesnym ranem odprawioną została w umyślnie na ten cel wystawionym namiocie Msza św., celebrowana przez ks. kan. Krausa, poczem kapelan „Sokoła" brodzkiego ks. Macheta wygłosił do zgromadzonych druhów i publiczności piękne, patryotyczne kazanie. Po nim przemawiali reprezentanci powiatu i miasta, witał również Sokolstwo prezes miejscowego gniazda. Po tych wstępnych uroczystościach odbył się wspaniały pochód ku pomnikowi Korzeniowskiego, u stóp którego złożył związek zasłużonemu pisarzowi — wieniec dębowy. Pochód poprzedzony był przez konny oddział „Sokoła". Ruszono pod wodzą starszyzny: prezesa dr. Czarnika, naczelnika Janikowskiego i chorążego Kukawskiego. Po złożeniu wieńca na pomniku Korzeniowskiego nastąpiła defilada przed starszyzną



Piąty zlot okręgu sokolego w Brodach: Na boisku przed rozpoczęciem ćwiczeń.



Nowy książę niemiecki: Kanclerz Bülow.

Związku — poczem ruszono pochodem ku boisku. Znamiennym a pocieszającym jest faktem, że po drodze, przed starożytną synagogą, powitał sokołów uroczystą mową prezes zboru izraelickiego p. Bloch, zapewniając o patryotyczności i jednomyślności żydów z polskiem społeczeństwem. Po skromnym posiłku, dookoła trybun ustawiły się karne zastępy sokole do wspólnych ćwiczeń. Huczne oklaski i okrzyki publiczności towarzyszyły tym sprawnym pięknym popisom. Z ćwiczących wyróżnili się zwłaszcza druhowie: Janikowski, Hamburger i zasłużony całemu polskiemu sokolstwu prezes Durski.

Po defiladzie przed duchowieństwem, reprezentacyą miejską i powiatową, zakończył się turniej. Ostatni w programie numer zapowiadał festyn, który też wypadł wspaniale, dzięki prześlicznej pogodzie, licznie zebranym gościom i nadobnym paniom, które wzięły na siebie role gospodyń zabawy. Uroczystość skończyła się nad ranem, a pozostawi ona miłe wspomnienie dla uczestników i wyrobi niezłomne przekonanie, że idea Sokoła coraz to potężnieje w społeczeństwie, a budując na niej, możemy się wkrótce lepszej doli doczekać.

Ryciny nasze przedstawiają drużyny sokole z lancami, ćwiczenia wolne na boisku, oraz wszystkie drużyny przed rozpoczęciem ćwiczeń.

Nowy książę niemiecki.

Dużo rozmaitych przedmiotów produkują Niemcy taniej niż inne kraje. Pod panowaniem Wilhelma II potaniały tam także najrozmaitsze kategorye tytułów. Najlepszym i najświeższym tego dowodem jest nadanie obecnemu kanclerzowi Niemiec, hr. Bülowowi, tytułu „księcia". Żelazny książę, Bismarck, otrzymał ten tytuł dopiero wtedy, gdy przeprowadził zwycięsko trzecią wojnę, w której zgruchotał potęgę „dziedzicznego wroga" Niemiec, gdy zjednoczył Niemcy i podniósł je do rzędu najpotężniejszych mocarstw, a Hohenzolernom utorował drogę do tronu cesarskiego. Spodziewać się należało, że po takim precedensie władcy niemieccy nie będą zbyt szczodrzy w nadawaniu tego tytułu za zasługi polityczne. Tymczasem hr. Bülow otrzymał go za znacznie mniejszą ilość i jakość zasług.

Głównym motywem tego nadzwyczajnego odznaczenia Bülowa była łaska cesarska, którą on umiał sobie zaskarbić. Bo też Bülow jest jakby stworzony na kanclerza najwymowniejszego z Hohenzollernów. Łączy on w sobie wielką zręczność polityczną z giętkością dworaka, a ta właśnie giętkość jest wprost niezbędną dla ministrów władcy, hołdującego dążnościom absolutystycznym. Można mieć rozmaite zdania o jego zdolnościach dyplomatycznych, ale to jedno trzeba mu przyznać, że potrafi znakomicie godzić swoje poglądy, zamiary i czyny z fantastycznymi porywami swego władcy. Nie dziw więc, że Wilhelm II., którego Bülow niejednokrotnie uratował od kompromitacyi, spowodowanej zbytnią jego krewkością i porywczością, szczególnie umiłował swojego obecnego kanclerza, tembardziej, że obdarowanie Bülowa tytułem księcia nie kosztowało nic ani prywatną cesarską szkatułę, ani skarb państwa. Bismarck, otrzymawszy tytuł „księcia" otrzymał dobra Friedrichsruhe, tzw. „Sachsenwald", wartości 3 milionów marek, był bowiem zdania, że królowie pruscy nie powinni tworzyć książąt ubogich, bo tytuł ten wymaga odpowiednio wystawnego trybu życia. Bülow przyjął nowy tytuł darmo, choć nie posiada znaczniejszego majątku. Ale też Bülow nie ma potrzeby gromadzenia skarbów, ponieważ jego małżonka nie obdarzyła go potomstwem, a osobiście żyje bardzo skromnie.

Tytuł księcia jest też dla Bülowa nagrodą za zawarcie traktatów handlowych i za upokorzenie Francyi w sprawie marokańskiej, tembardziej, że wyniesienie Bülowa ogłoszono właśnie w chwili, kiedy jego współzawodnik francuski, minister spraw zagranicznych Delcasse, podawał się do dymisyi.

Podajemy obok fotografię nowomianowanego księcia Bülowa, obecnego kanclerza Rzeszy.

Nowy dyrektor policyi w Krakowie.

W Krakowie są trzy najważniejsze stanowiska urzędnicze w służbie rządowej: delegat namiestnictwa, naczelnik okręgowej Dyrekcyi Skarbowej — i dyrektor policyi. Należą oni w naszych stosunkach już do t. zw. „dygnitarzy", to też rząd obsadza posterunki te wyjątkowo uzdolnionymi urzę-



Piąty zlot okręgu sokolego w Brodach: Drużyny sokole z lancami.



Zamordowanie konsula w Marokko: Rozbójnicy napadają na Maddena.

dnikami, cieszącymi się przytem pełnem zaufaniem sfer rządzących, jak i społeczeństwa, wśród którego spełniają trudne obowiązki.

Rząd austryacki umie niekiedy trafnie dobierać sobie ludzi. Dowodem tego ostatnia nominacya radcy policyjnego p. Michała Flataua, dotychczasowego prowizorycznego kierownika dyrekcyi policyi – na dyrektora tejże instytucyi, z równoczesnem mianowanowaniem go „radcą rządu“. Pan Dr. Michał Flatau, to człowiek prawdziwie zachodnio-europejskiego pokroju, o wysokiej kulturze towarzyskiej i wybitnej wiedzy z zakresu prawa i administracyi. Młody, bo zaledwie 40 lat liczący dyrektor, aczkolwiek od niedługiego czasu bawi w murach Krakowa, umiał w krótkim czasie delikatnością, grzecznością i wyrozumiałością pozyskać dla siebie wszystkie sfery grodu naszego.

Pan Michał Flatau jest z pochodzenia warszawiakiem, gdzie w r. 1865 ujrzał światło dzienne. Studya prawnicze ukończył w Wiedniu i tam też uzyskał stopień doktora praw. Następnie wstąpił do służby w namiestnictwie w Wiedniu, z kolei zaś do służby administracyjnej na Śląsku. Był urzędnikiem w starostwach, w Opawie, Cieszynie i innych miastach. Przez kilka lat potem pełnił funkcye komisarza ekspozytury policyjnej w Ostrawie czeskiej.

Urzędowanie jego przypadło na najtrudniejszy okres, bo w początkach strejków górniczych. Młody komisarz potrafił swoim taktem zjednać sobie zaufanie i wdzięczność zarówno pracodawców, jak robotników. W r. 1899 powołany został w charakterze starszego komisarza do c. k. Dyrekcyi policyi we Lwowie, a stamtąd w roku 1901 do ministerstwa spraw wewnętrznych, skąd przybywa znowu do Lwowa jako radca i zastępca dyrektora policyi. Po śmierci ś.p. Dra Zenona Korotkiewicza, dyrektora policyi w Krakowie, objął z dniem 1 kwietnia 1904 obowiązki tymczasowego kierownika tut. dyrekcyi policyi, a dnia 10 b. m. został mianowany radcą rządu i dyrektorem policyi.

* * *

W numerze niniejszym podajemy portret nowomianowanego dyrektora policyi w Krakowie.



Nowy dyrektor policyi w Krakowie: Dr. Michał Flatau radca rządu, dyrektor policyi w Krakowie.

Jedna kula przyczyną śmierci dwojga osób.

Epidemia samobójstwa grasuje w zatrważający sposób w dzisiejszem społeczeństwie. Zrozpaczeni, znudzeni czy przesyceni chwytają skwapliwie za broń samobójczą, by nią zakończyć porachunki z życiem. Charakterystycznem jest jednak, że stosunkowo najmniejszy procent samobójstw wykazują sfery społeczne, żyjące w najcięższych warunkach. Nie słyszymy wcale, lub słyszymy bardzo rzadko o wypadkach samobójstwa u rzemieślników, wyrobników, ogółem u ludzi, borykających się ciężko z swym losem. Natomiast epidemia samobójcza obfite zbiera żniwo w t. zw. „lepszych klasach“, nie doznających nigdy prawie biedy lub niedostatku. Wynikałoby z tego, że przyczyną samobójstw nie są złe warunki ekonomiczne, ile raczej zdegenerowanie, któremu wyłącznie owe „lepsze klasy“ podlegają.

Wyjątek pod tym względem stanowi armia, gdzie statystyka samobójstw dochodzi do niebywałych cyfr. Lecz tu inne czynniki w grę wchodzą. Tęsknota rekruta za domem, brak swobody, krępowanie woli na każdym kroku, surowe kary za najmniejsze przewinienia — a wreszcie złe obchodzenie się przełożonych ze szeregowcami.

Wypadek taki powtórzył się przed kilku dniami w wojskowej kasarni w Jarosławiu. Ponury dramat, którego ofiarą dwa życia ludzkie padły, rozegrał się w koszarach t. zw. „Goldfingera“, a jest tem osobliwszy, że dwoje ludzi, których jedna kula sprzątnęła, nie pozostawało z sobą w żadnym stosunku, a tylko ślepy los wspólną ich śmierć zrządził. Wieczorem w pomienionych koszarach odebrał sobie strzałem z karabinu życie pewien huzar 13 p. Geza Losö. Celny strzał położył samobójcę na miejscu, a kula przeszyła mu na wskróś czaszkę — od skroni do skroni. Nie tem jednak skończyło się dzieło zniszczenia fatalnego pocisku. Ta sama kula, która zabiła Losa, wleciała do mieszkania wachmistrza Zaruby i ugodziła jego żonę Maryę w lewą rękę, strzaskawszy zupełnie kość, tak, że przedramię zaledwie na strzępach mięśni się trzymało. Omdlałą z bólu Maryę przeniesiono natychmiast do szpitala wojskowego. Lekarze nie rokują jej jednak życia, i być może, że w tej chwili, gdy to piszemy, niewinna ofiara fatalistycznego iście trafu — rozstała się z tym światem.

Rycina nasza przedstawia owe dwa wstrząsające epizody kasarnianej krwawej tragedyi.



Jedna kula przyczyną śmierci dwojga osób: 1. Geza Losö po odebraniu sobie życia. 2. Żona wachmistrza Zaruby w chwili, kiedy kula z karabinu Losö'a strzaskała jej rękę.

Zamordowanie konsula w Marokko.

Dla ułatwienia stosunków dyplomatycznych i handlowych i dla ochrony poddanych swoich, przebywających poza granicami, delegują państwa specyalnych urzędników, zwanych zależnie od rangi ambasadorami, konsulami lub agentami dyplomatycznymi.

Urzędnik taki jest osobą nietykalną, reprezentuje on bowiem w obcem państwie swojego panującego, a prawo międzynarodowe czyni z niego, że się tak wyrazimy, pokojowego zakładnika przyjaznych stosunków dwóch danych państw. Reprezentanci ci powołani są do łagodzenia i usuwania w



Śmierć arcyksięcia Józefa: Arcyksiążę Józef w mundurze generała węgierskich honwedów.

drodze dyplomatycznej konfliktów i nieporozumień reprezentowanych państw, a pozostają tak długo w granicach obcego państwa, dopóki przyjazne stosunki między nim, a reprezentowanej przez niego ojczyźnie, trwają. N. p. z chwilą wybuchu wojny, konsul wraz z całem ciałem dyplomatycznem opuszcza kraj w którym przebywał i na rozkaz swego rządu powraca do ojczyzny. Taki przykład mieliśmy niedawno w toczącej się obecnie wojnie rosyjsko-japońskiej, gdy w przeddzień jej wybuchu mikado odwołał swego przedstawiciela z Petersburga. Jak wspomnieliśmy, gwarantuje prawo międzynarodowe konsulom bezpieczeństwo i nietykalność ich osób.

W tej samej jednak wojnie mieliśmy również przykład pogwałcenia tych praw. Podczas zamieszek w Warszawie napadli kozacy na spokojnie idącego konsula angielskiego i srodze go poranili. Działo się to w Warszawie, w zaborze Rosyi, pragnącej uchodzić za państwo cywilizowane.

Jeszcze jaskrawszego przykładu dostarczyli światu niedawno Arabowie w portowem mieście Mazagan w Marokku. Konsul Daniel Madden, będący równocześnie przedstawicielem Anglii, Austryi i Danii został zamordowany przez krajowców. Mianowicie 4 tubylców wpadło nocną porą do domu konsula i formalnie rozsiekali swoją ofiarę; jeden z nich nawet „dla pewności“ strzelił mu w skroń. Żonę i służącą konsula, błagające litości dla mordowanego, poraniono niebezpiecznie. Mord jak się zdaje, popełniony został dla rabunku, zbrodniarze unieśli bowiem wszystkie wartościowe przedmioty ze sobą. Aczkolwiek motywa polityczne są w tym wypadku prawie wykluczone — nie wolno zapominać, że ludność marokkańska zajęła w ostatnich latach wobec chrześcijan stanowisko bardzo groźne, a datuje się to jeszcze od powstania Bu-Humary w r. 1901.

Nie ulega wątpliwości, że interesowane mocarstwa ujmą się solidnie za zamordowanym i od rządu marokkańskiego zażądają należytej satysfakcyi. Ilustracya nasza przedstawia straszną chwilę śmierci Maddena.

Zamordowanie tercyarki przez sołdatów.

Carski ukaz tolerancyjny, przywracający ludności unickiej swobodę wyznania, pozostał, jak wypadki pouczają, martwą literą bez żadnego praktycznego znaczenia. Owszem, zdawałoby się, że w przededniu jakichś zmian na lepsze wściekłość carskich zbirów i posiepaków wysila się na najwyszukańsze udręczenia biednej, ciemiężonej ludności.

Oto co się stało pod Tomaszowem lubelskiem:

W wiosce Majdanie wielkim mieszkała pobożna tercyarka, niejaka Marya Denisówna, która przygotowywała młodzież do Sakramentu Bierzmowania. Dowiedział się o tem naczelnik powiatu Szalimow i posłał w nocy pomocnika swojego Zarembo-Hadziackiego z 11 strażnikami z rozkazem, by tercyarkę odstawiono do Tomaszowa.

Strażnicy wpadli do domu Denisównej w nocy, porwali ją z łóżka pół nagą na wóz i zawieźli do więzienia. Po drodze znęcano się nad aresztowaną w okrutny sposób, bijąc ją i naigrawając się z niej.

Tercyarka w więzieniu ciężko zachorowała z pobicia i przestrachu. Naczelnik powiatu zabronił wzywać lekarza, wezwany zaś do chorej dziekan miejscowy ks. Szemiata z przyjaźni dla władz odmówił ostatniej posługi.

I Denisówna umarła bez pociech religijnych, których z przyjaźni dla władz duchowieństwo odmówiło konającej.

Ludność, dowiedziawszy się o tem, zgotowała wspaniałą pośmiertną owacyę męczennicy i w demonstracyjnym pochodzie pogrzebowym, pomimo, że duchowieństwo nie chciało w nim wziąć udziału, a nawet pomieniony ks. Szamiata nie wpuścił trumny do kościoła, tłum zdobył sobie przemocą wstęp do świątyni i po odprawionych nad zwłokami śpiewach, poniesiono trumnę na cmentarz i tam ją pochowano.

Rycina nasza wyobraża straszną chwilę porwania Denisównej przez carskich zbirów.

Śmierć arcyksięcia Józefa.

Dnia 13 bm. zmarł we Fiume w swojej willi Giuseppe, sędziwy, bo 72 lat z górą liczący arcyksiążę Józef. Postać ta była jedną z najsympatyczniejszych postaci domu panującego. Śmierć jego obudziła też żywy żal w całem państwie, zwłaszcza na Węgrzech. Bo też wielki książę Józef nietylko całe życie przepędził na ziemi madziarskiej, na której ujrzał światło dzienne, ale był on uczuciem i myślami Węgrem do szpiku kości. Cieszył się też w całych Węgrzech taką popularnością i miłością, jak żaden inny arcyksiążę. Cały jego dwór i otoczenie składało się z Węgrów, a on sam i dzieci ubierali się po węgiersku.



Polka sanitaryuszką na Dalekim Wschodzie: Anna Liskówna w stroju siostry miłosierdzia ros. Czerwonego krzyża. (Treść na str. 12).

Położył on też niemałe dla Węgier zasługi.

Przedewszystkiem stolica Węgier, Budapeszt, którą otaczał zawsze szczególnem umiłowaniem, zawdzięcza bardzo dużo wspaniałemu sercu arcyksięcia. Arcyksiążę Jozef pracował także bardzo wiele na polu ekonomicznego podniesienia Węgier i ta jego działalność zapisała się złotemi głoskami na kartach odrodzenia Węgier w zeszłym wieku. Zajmował się także bardzo gorliwie historyą i etnografią, a jego liczne naukowe rozprawy z tej dziedziny wiedzy sprawiły, że budapeszteński uniwersytet mianował go doktorem „honoris causa“. Za jego staraniem powstały na Węgrzech liczne, a dobrze wyćwiczone straże pożarne; największą jednak jego zasługą było zorganizowanie honwedów, której to organizacyi oddał się arcyksiążę Józef całą duszą.

Od kilku miesięcy arcyksiążę Józef był ciężko chory. Nareszcie 13 b. m. śmierć przecięła pasmo jego chlubnego żywota. Podajemy obok portret umarłego arcyksięcia w mundurze generała honwedów węgierskich.



Zamordowanie tercyarki przez sołdatów: Zbiry carskie porywają Denisównę w nocy do więzienia.



O dwa Miliony

Amerykańska powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył J. R.

5 (Ciąg dalszy).

— Mister Vanderhook — rzekł szeptem powiernik szefa – mam zaszczyt przedstawić panu mistra Ovena Torry, policystę, który na nieokreślony czas musi u nas objąć zajęcie.

— Dziękuję — odparł również szeptem Miles – rzucając przelotne spojrzenie na młodą kobietę – dziękuję mister Zygmunt. A gdybyś mnie pan potrzebował, panie Torry, służę panu każdej chwili z całą przyjemnością.

Ajent skłonił się.

— Bardzo mi przyjemnie, sir. Jeśli zajdzie potrzeba, zwrócę się do pana. Naprzód jednak muszę panu zwrócić uwagę, że wobec wszystkich jestem tutaj buchalterem, który podlega wyłącznie mister Zygmuntowi. W ten sposób będę mógł łatwo zapoznać się z innymi przełożonymi i mogę dalej prowadzić śledztwo. Jednak — przepraszam, mister Vanderhook – kto jest ta młoda dama?

— Ach tak, tak, zapomniałem. I panu, mister Zygmunt, muszę panią przedstawić – rzekł Miles, zbliżając się do dziewczyny. Zaangażowałem dziś panią do pisania na maszynie. Niech pan zanotuje: miss Lydia Horn — ten pan, miss Horn, to nasz szef, mister Zygmunt. Lydia ukłoniła się uprzejmie, ale mister Zygmunt nie odkłonił się. Zdumiony i potrochu zagniewany, patrzył w ziemię. Również mister Torry, detektyw, zdawał się być przestraszony, albo też zdumienie mister Zygmunta odbiło się tylko na jego wygolonej twarzy. Przynajmniej tak kazały przypuszczać słowa, w jakie się odezwał parę sekund później.

— Co to jest, sir? – zapytał cicho. – Ślad jaki? Zdaje się pan być zdumionym.

Mister Zygmunt ocknął się.

— Czyś się pan nie pomylił – rzekł głośno – że ta pani nazywa się rzeczywiście Lydia Horn?

— Tak jest, miss Lydia Horn — odparł Miles.

— To się nie zgadza – ciągnął dalej prokurzysta tym samym tonem – pan się myli. Ta dama zameldowała się pod innem nazwiskiem, a mianowicie pod nazwiskiem, – hm – pod nazwiskiem Mary Collins.

Teraz znowu zdumienie odbiło się na twarzy Milesa.

— Miss Collins!? Rzeczywiście, pan mi podał takie nazwisko, uwiadamiające mnie o jej przybyciu. Czy też, może tu była jakaś inna kobieta?

— Nie, sir!

Wszyscy trzej dżentelmeni patrzyli wyczekująco na młodą kobietę – Miles z zachęcającym uśmiechem, powiernik szefa z wzburzoną, prawie że przerażoną miną, a pseudobuchalter z widocznem zniecierpliwieniem i ciekawością.

Także Lydia zdawała się być zdumioną.

Śmiejąc się, duże swoje oczy skierowała na mister Zygmunta.

— Błąd popełniłeś z pewnością pan, mister Zygmunt; nazywam się Lydia Horn – nie mogłabym więc panu wymienić innego nazwiska.

Powiernik szefa stracił cierpliwość.

— To niemożliwe! Stanowczo — zawołał. — Pani zameldowałaś się pod nazwiskiem Mary Collins!

— Nie, sir, słyszę to nazwisko pierwszy raz.

— Widocznie więc, że pan się pomyliłeś — podjął detektyw zwracając się do prokurzysty i dodał cicho: Mnie to wcale nie dziwi, mister Zygmunt; pan jesteś ogromnie wzburzony, przecież mogłeś się pan przesłyszeć. Ale powracajmy do biura, bo nasz czas jest drogi!

Lecz powiernik szefa nie ruszył się z miejsca, jakby wrósł w ziemię. Coś podobnego jeszcze się mu nie zdarzyło. Zaczynał się obawiać, czy ma jeszcze zdrowy rozum.

— Nie bierzcie mi tego za złe, panowie — rzekł — rzecz ta jest dla mnie bardzo zagadkowa. Skądżeby mi wpadło do głowy obce nazwisko? Miss Collins, tak to nazwisko brzmiało, które ja panu telefonicznie podałem.

— Dobrze staruszku – odparł Miles uprzejmie – wszystko dobrze. Uspokój się pan tylko! Sprawa się później wyjaśni. Za tę panią ja ręczę. Nazywa się ona miss Lydia Horn, a znam ją nie od dziś dnia. A teraz chodźmy, panowie!

Wszyscy trzej wyszli do głównego biura i Lydia pozostała sama. Kiedy drzwi się zamknęły i wszystko ucichło, podniosła się cicho i na palcach, aby nie wzbudzić najmniejszego szelestu, posunęła się ku drzwiom, pilnie nadsłuchując. Wtem, co to ma znaczyć? Czyżby podejrzenie, które tak nagle przyszło do głowy mister Zygmuntowi miało się potwierdzać? Czyżby detektyw, który tak nagle, jakby z pewnym, z góry określonym zamiarem nad zmianą nazwiska przeszedł do porządku dziennego, był w porozumieniu z tą kobietą, czy też oboje nawzajem się podejrzewali?

Przez małą chwilkę stała Lydia przy drzwiach, podsłuchując, co się za niemi dzieje, poczem oderwała nagle łańcuszek od bluzki, rzuciła go na ziemię i bez szelestu, jak cień, pomknęła w drugą stronę pokoju. W jednym rogu stała tam mała, elegancka szafa, na wpół otwarta, a w niej wisiały najrozmaitsze ubrania. Chwilkę jeszcze stała Lydia bez ruchu, słuchając, czy kto nie nadchodzi, poczem białe jej rączki poczęły rewidować garderobę. Na przedzie wisiała popielata zarzutka. Przeszukała kieszenie — były puste. Pozostała jeszcze boczna kieszeń w podszewce. W niej widać było coś białego. Włożyła rękę i wyciągła chusteczkę, białą chusteczkę ze szlakiem. Była jeszcze nowa, ale dziwna rzecz — jeden róg był urwany. Bez namysłu urwała drugi róg, schowała go do kieszeni, poczem włożyła chustkę napowrót tam, skąd ją wyjęła, zamknęła szafę i cofnęła się na środek pokoju.

W tej chwili drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Miles. Pierwsze jego wejrzenie padło na dziewczę, które stało na środku pokoju, patrząc na podłogę.

— Czy pani co upadło, Lydio?

— Przepraszam najmocniej, sir – odparła nie zmieszana bynajmniej – zauważyłam właśnie, że mi brakuje łańcuszka od zegarka. Prawdopodobnie urwał się, kiedym zdejmowała żakiet. A byłoby mi przykro, gdyby mi się zniszczył.

Miles stanął i skierował wzrok na podłogę. Ale w tejże chwili schylił się, podniósł łańcuszek, który leżał tuż obok jego nóg i podał go z uśmiechem Lydii. Podziękowała i wyciągła rękę, aby zgubę odebrać, ale Miles chwycił ją i zatrzymał w swej dłoni. Twarz Lydii okryła się silnym rumieńcem, oczy błądziły po ścianie. A kiedy Miles, ośmielony jej łagodnością, przycisnął usta do jej ręki i szepnął miłe pochlebstwo, nie opierała się. Surowość jej, zdało się, znikła w jednej chwili. Miles wziął jej główkę i skierował tak, że różowe jej usta płoniły się tuż obok jego ust. Ale gdy cicho i miłośnie szepnął „nareszcie, słodka Lydio“ – padły na niego z jej oczu takie pioruny błysków, że prawie przestraszony puścił jej rękę i stanął jak osłupiały.

Po chwili podszedł do biurka i usiadł, pogrążony w myślach. Nadaremnie starał się zbadać to dziwne zachowanie się dziewczęcia. Byłażby to ta sama Lydia, która wszystkie jego zaloty i starania od tylu już miesięcy, ba, przed pół godziną jeszcze, odrzucała z zimną obojętnością? A jednak – nie opierała się teraz jak zwykle. Może ona go rzeczywiście kocha i tylko w tej chwili nie zdołała opanować swego uczucia?

Lydia również siedziała zamyślona. Unikała wzroku Milesa. Zarumieniona, ze spuszczonemi oczyma, zawstydzona, patrzała przed siebie na rozłożony na stole kopiał.

Dopiero, kiedy sędziwy szef firmy wszedł do pokoju i rozpoczął ze synem mówić o interesach bankowych, zapanował w gabinecie na nowo nastrój urzędowy. Poczęło się dyktowanie listów, które Lydia pisała na maszynie i kopiowała, okazując się przytem bardzo zręczną robotnicą, która odgadywała słowa, zanim jeszcze wyszły z ust dyktującego, tak, że litery na maszynie formalnie wirowały.

Nareszcie o godzinie piątej godziny urzędowe młodej kobiety się skończyły. Oznajmił jej to sędziwy szef banku, prosząc aby jutro przyszła o godzinie 10 rano. Ubrała się i skłoniwszy się szefowi oraz Milesowi, który się do niej przyjaźnie uśmiechnął, opuściła gabinet.

Przed bramą banku stał Bob Murphy i czekał aż wyjdą wszyscy urzędnicy, aby rozpocząć swoją nocną służbę, którą dzisiaj miało z nim odbyć pół tuzina tajnych ajentów. Lydia stanęła obok

niego przy drzwiach, zmierzyła go badawczem spojrzeniem i poczęła powoli wdziewać rękawiczki. Co się tyczy Boba Murphy, to nie należał on, jak się zdaje, do nieprzyjaciół pięknych twarzyczek kobiecych, bo patrzał na nią tak, jak dobrze znający się na „towarze“ donżuan. Widać było po jego minie, że ma ochotę ją zagadać, ale nie śmiał, prawdopodobnie będąc przekonanym, że jest to jedna z klientek banku, bo przecież, gdyby należała do personalu bankowego, to musiałby ją znać. Lydia sama wyrwała go z zakłopotonia.

— Czy pan także należy do banku? — spytała, nie przestając wdziewać rękawiczki.

— Ja — odparł Bob skwapliwie — o to mógłbyś się, młoda pani, założyć. Należę do żywego inwentarza tego banku.

— I dlatego stoi pan pod drzwiami? — zapytała zdziwiona.

— Dlaczego nie? Należę mianowicie do zwierząt nocnych, musi pani wiedzieć — —

— Aha, to pan w nocy wychodzi na żer?

Bob Murphy umilkł na chwilę, ale zaraz potem wybuchnął głośnym śmiechem:

— Jesteś pani uszczypliwa — rzekł — jak Boga kocham, dyabelnie uszczypliwa. Ale w jednem się pani pomyliła. Nie wychodzę bowiem na noc na rabowanie, ale na rabusiów i dlatego śpię we dnie. Chociaż dzisiaj — rzekł żałośnie — dano mi zaledwie parę godzin na spoczynek — niech to dyabli wezmą!

Lydia wdziała już rękawiczki, podniosła głowę i spojrzała na stróża.

— Czy pan może jest tajnym agentem, sir? — zapytała.

— Nie, z tą piekielnie zacną i dostojną branżą niemam nic wspólnego. Jestem nocnym stróżem tego banku.

— Nocnym stróżem?

— Tak jest — ale kimże pani jesteś?

— Ja — ja także należę do żywego inwentarza — wszak tak się pan wyraziłeś — w tym banku.

— To niemożliwe. Ja pani jeszcze nie widziałem nigdy.

— Bardzo jasne, bo ja dopiero dzisiaj objęłam urzędowanie.

— A, to mnie cieszy, miss. To mnie cieszy, bo prawdę powiedziawszy, pani jesteś dyabelnie zgrabna i miła...

— Tak pan sądzisz? — rzekła Lydia, rzucając nań powłóczyste spojrzenie z pod przymrużonych powiek.

— Jak mi Bóg miły! Jesteś pani kolosalnie piękna! A niech mnie uśmiercą, jeśli łżę!

Lydia uśmiechnęła się.

— To coś tak, jakby oświadczyny?...

— Chce je pani odemnie usłyszeć, miss? — zapytał śmiało Murphy.

Zmierzyła go od stóp do głowy.

— Nie — rzekła zimno i zwróciła się do wyjścia.

— Jeśli ja się pani nie podobam, no, to jeszcze nie ma pani potrzeby uciekać — ja przecież żartuję tylko.

Lydia uśmiechnęła się znowu.

— Pan przecie nie jest taki zły, jak się pan wydaje. Ale muszę już iść do domu.

Bob Murphy, jak się zdawało, nie myślał tak łatwo pozbyć się pięknej kobiety.

— Czemuż się pani tak spieszy. Niechże mi pani przynajmniej powie, jakie stanowisko pani w banku zajmuje?

— Jestem sekretarką młodego Vanderhooka.

— Co, pani pracuje w prywatnym gabinecie młodego pana?

— Cóż to pana tak dziwi?

Bob Murphy w tej chwili spoważniał.

— Miej się pani na ostrożności — rzekł.

— Nie rozumiem pana. Dlaczego? Na co?

— Niech się pani przed nim strzeże. Młody mister Vanderhook jest bowiem — — haha, to jest numer!

— Tak, on jeden, a pan drugi — to razem dwa.

— Niech pani nie żartuje, młoda pani. Młody Vanderhook, to jest — — to jest rzeczywiście —

— No co?

— To jest, jeszcze raz powiadam — — to jest numer!

Lydia zacisnęła wargi i spojrzała zdumiona na stróża.

— Cóż to jest? — zapytała leniwie.

— No, no, niech-no pani nie udaje!...

— Jesteś pan dureń, jakkolwiek się pan możesz nazywać!

— Bob Murphy to szacowne nazwisko, proszę pani i żart żartem, ale mówię raz jeszcze, niech się pani strzeże. Tamta, poprzedniczka pani, zeszła także na psy, wie pani, tak, na psy...

— Dlaczego?

— No, stary nie chciał tego mieć w biurze — rozumie pani — zresztą — Bob Murphy przerwał sam sobie — zrobiwszy ręką lekceważący ruch — w najbliższym czasie nie ma się pani czego obawiać. Ma on teraz inne sprawy na głowie. Czy pani nic nie zauważyła?

Lydia podniosła woalkę i z uwagą spojrzała stróżowi w oczy.

— Co miałam zauważyć?

— Pst! Cicho! To, co w tym domu zaszło, to tajemnica!

— Przestrasza mnie pan — szepnęła.

— Niema obawy. To już przeszło!

— Ale co?

— Tego nie mogę powiedzieć, miss.

— Proszę, niech mi pan powie, ja umiem milczeć. Zaniepokoiłeś mię pan i chcesz mnie tak pozostawić w niepokoju.

Bob Murphy milczał. Zdawało się, że w umyśle jego wyłania się jakaś nowa myśl.



Niech się pan spyta potem, jak pan osiwieje...

— No — rzekł wreszcie — powiem pani, ale to rzeczywiście jest tajemnica kolosalna — powiem pani, ale jeżeli mi to pani należycie wynagrodzi.

— Jakto? Miałażbym panu za to płacić?

— Ależ nie pieniądzmi, miss. Twarzyczka pani, taka piękna, jak malowanie, rozżarzyła mi ogień w żyłach. Chcę innej nagrody, *well* — za całusa powiem pani wszystko.

— Za jednego całusa? Czyś pan przypadkiem nie zwaryował, przyjacielu?

— Bynajmniej. I nie wiem, dalibóg, dlaczego się pani namyśla. Całus — ba! — całus nie pozostawia śladów.

Lydia patrzyła chwilę w ziemię, poczem roześmiała się.

— Z pana jest dyplomata, mister Murphy. Rzeczywiście — z tego punktu widzenia nigdy nie wychodziłam.

— Aha. No — zgadza się pani?

— Nie wiem.

— Tak, albo nie, miss. Chce pani?

— Chciałabym wiedzieć, co zaszło w tym domu.

— W takim razie chodźmy. Nie możemy tu stać. Mógłby kto nadejść.

Bob Murphy wyszedł na ulicę, a za nim Lydia. Stanęli w sieni najbliższego domu. Jesienne niebo pokryte było chmurami, a na ulicy rozpraszały nadchodzący mrok elektryczne promienie wielkich łukowych lamp. Murphy stanął tuż obok Lidyi.

— A więc? — rzekł.

Lydia trzymała brzeg swojej woalki i odwróciła się.

— A więc?

— Całus, dziewczyno!

— Oho! Na nic sztuka. Naprzód tajemnica, potem nagroda.

— Także dobrze — szepnął Bob. — Zgadzam się. Dzisiaj w nocy mieliśmy tu włamywaczy. Rozbito kasę i skradziono dwa miliony dolarów. Policya rzuciła podejrzenie na młodego mister Vanderhooka, gdyż pomiędzy włamywaczami był jeden z postaci zupełnie do niego podobny. Śledztwo w pełnym toku. Nie sądzi pani, że mu to teraz klinem w głowie siedzi? *Well* — a teraz...

— To wszystko? — przerwała Lydia potok słów zakochanemu Irlandczykowi.

— To wszystko. A teraz...

— A teraz — dobra noc, sir Murphy; ślicznie dziękuję — rzekła Lydia, śmiejąc się i wyszła na ulicę, oblana potokami światła.

— Pardon! A obietnica, miss?

— Ach, całus? Ja go panu przyrzekłam, to prawda, ale na kiedy? Niech się pan spyta potem, jak pan osiwieje. A teraz dobranoc, sir Murphy.

Z gracyą i wdziękiem podniosła suknię i szybkim krokiem odeszła w głąb ulicy.

Bob Murphy zaklął z cicha, splunął na rynnę i szedł za nią kawałek. Ale wkrótce potem stanął, wzrokiem ścigał jeszcze odchodzącą, a kiedy znikła na zakręcie ulicy, wrócił się i poszedł zwolna ku bankowi.

VI.

W dyrekcyi policyi jedenastego dystryktu nowojorskiego, zostającej pod kierunkiem kapitana Ulissesa Tomsona, panował niebywały ruch. Wprawdzie robota detektywów, przeznaczonych do śledzenia sprawy Vanderhook, nie postąpiła jeszcze ani na krok naprzód, żadna z podejrzanych osób nie próbowała uciekać z miasta, nawet Bill Crookey przebywał jeszcze w mieście, oddając się słodkiemu wypoczynkowi po żmudnem siedzeniu w więzieniu, z którego nie dawno wyszedł; nie było też najmniejszej nadziei wyśledzenia, gdzie się znajdują owe skradzione dwa miliony, ale nie to było przyczyną owego ruchu w policyi. Przyczyną tą było niebywałe, olśniewające odkrycie, odkrycie prawie bajeczne, które nawet w sanktuaryum głównej dyrekcyi policyi w Nowym Jorku wywołało wrzenie i spowodowało najbystrzejszego praktyka kryminalnego na świecie, inspektora policyi Byrnesa, do tego, że sam osobiście zajął się tą sprawą. Żaden detektyw już nie wątpił, że Bill Crookey, rozbijacz kas, rzeczywiście dokonał włamania, on sam i kilku dotychczas jeszcze niewyśledzonych jego kolegów. Stojący na żołdzie policyi tajni ajenci, po większej części sami byli włamywacze i zbrodniarze, wierzyli w to jak w biblię, bo było to publiczną tajemnicą w kołach zbrodniarzy i złodziei nowojorskich, ale jedna rzecz była w tem nie do uwierzenia. Włamanie i rozbicie kasy nie przyniosło pożądanych rezultatów, teki z dwoma milionami dolarów, której szukali złodzieje, w kasie już nie było. O tem także wiedziały wszystkie męty społeczne w Nowym Jorku. Bill Crookey pozostał tak ubogim, jak mysz kościelna, nie zarobił ani złamanego szeląga, tem mniej więc dwóch milionów dolarów.

Ciąg dalszy nastąpi.

Zlot Sokoli w Stanisławowie.

Równocześnie na Zielone Święta odbywały się w trzech miejscowościach naszego kraju zloty sokole, mianowicie w Brodach, Żywcu i Stanisławowie. Wszystkie trzy zloty miały przebieg świetny i wykazały nadzwyczajny wzrost instytucyi sokolej w kraju. Szeregi polskich gimnastyków wzrastają z roku na rok z zadziwiającą szybkością, a zloty, odbywające się co pewien okres czasu w rozmaitych punktach kraju, są dowodem żywotności idei, streszczającej się w znanem haśle: „W zdrowem ciele zdrowy duch". Za tem hasłem idą inne. W skutkach dalszych, wpływem organizacyi sokolich, jest wytworzenie silnych spójni w społeczeństwie, oraz wyrobienie hartu i tężyzny ducha.

Zlot w Stanisławowie objął dwadzieścia sześć gniazd VII okręgu, a był czwartym z rzędu. Pierwszy z nich odbył się w r. 1897 w Stanisławowie, drugi w r. 1899 w Kołomyi, trzeci w roku 1903 w Śniatynie.

Do okręgu VII należy 26 gniazd. Liczebnie jest ono ze wszystkich najsilniejsze i sięga z jednej strony po Stryj, z drugiej zaś po krańce Bukowiny.

Z powodu dwudziestolecia „Sokoła" stanisławowskiego, podaliśmy w jednym z pierwszych numerów tegorocznych historyę tego gniazda, szczegółów tych dlatego nie powtarzamy, przypomnimy jedynie, że długoletnim prezesem jego jest inżynier Wydziału krajowego, Antoni Barancewicz, naczelnikiem zaś Włodzimierz Świątkiewicz.

Boisko urządzono w roku bieżącem w samem śródmieściu, przy ul. Trzeciego Maja, na gruntach pp. Immerdauera i Bierera, którzy go odstąpili na ten cel „Sokołowi" bezpłatnie. Plac dla ćwiczących obliczono na 480 gimnastyków, loże i trybuny pomieściły 1500 osób, miejsca stojące 2000, całe ogółem boisko mogło pomieścić 4000—5000 osób.



Zlot Sokoli w Stanisławowie: Sztandar sokoła stanisławowskiego.



Zlot Sokoli w Stanisławowie: Naczelnik gniazda kołomyjskiego p. Kazimierz Haczewski.



Zlot Sokoli w Stanisławowie: Grupa nauczycieli sokoła stanisławowskiego.



Zlot Sokoli w Stanisławowie: Prezes gniazda kołomyjskiego p. Stan. Haczewski.

Uroczystości zlotowe rozpoczęły się już w sobotę, w wilię Zielonych Świąt. Miasto całe miało wygląd odświętny, przybrało się bowiem we flagi, dywany, transparenty i kwiaty.

Wieczorem w sobotę odbyło się uroczyste powitanie gości w teatrze, połączone z przedstawieniem amatorskiem. Nazajutrz rano, wobec uszeregowanych na boisku drużyn sokolich i trybun pełnych gości, odprawił ks. Skarbowski uroczystą mszę polową, poczem witali miłych towarzyszy prezes okręgowy Barancewicz, delegat krajowego Związku Eppler i wiceburmistrz miasta Stanisławowa, Fiedler.

Ćwiczenia zlotowe odbyły się tego samego dnia, przy cudnej pogodzie, popołudniu. Do ćwiczeń wolnych stanęło 339, do ćwiczeń maczugami 150, do ćwiczeń lancami 120 gimnastyków.

Uroczystości zlotowe zakończył świetny raut w „Sokole".

Obrazki nasze przedstawiają prezesa związkowego VII okręgu, inż. Barancewicza, zasłużonego naczelnika związkowego, Wł. Świątkiewicza, prezesa i naczelnika gniazda kołomyjskiego, braci Haczewskich, sztandar „Sokoła" stanisławowskiego. grupę nauczycieli gniazda stanisławowskiego, wreszcie zdjęcie z ćwiczeń na przyrządach na boisku stanisławowskiem.



Zlot Sokoli w Stanisławowie: W. Świątkiewicz, naczelnik Sokoła stanisławowskiego.

Polka sanitaryuszką na Dalekim Wschodzie.

Są ludzie, oczywiście są to nieliczne wyjątki, którzy wszelkie swoje siły, zasoby i wiedzę poświęcają szlachetnemu celowi: niesienia pomocy cierpiącej ludzkości. Są to filantropi i dobrodzieje, którzy rozporządzając odpowiedniemi środkami, tworzą fundacye w rodzaju przytułków, szpitali, sanatoryów, ochronek dla dziatwy itp. Stugębna fama rozgłasza ich nazwiska, a fundacye, przez nich utworzone noszą ich imię. Oprócz jednak głośnych, renomowanych i reklamowanych takich firm dobroczynnych, są ludzie biedni, którzy prócz sił własnych i życia, więcej nic poświęcić cierpiącym współbraciom nie mogą. Są ciche zasługi, podobnie jak ciche cierpienia, a chociaż ukryte przed ciekawym ludzkim wzrokiem, posiadają tem większą wartość przed obliczem Boga.

Z jedną z takich cichych służebnic Miłosierdzia chcemy czytelników naszych zapoznać. Koleje jej życia zakrawają istotnie na jakieś fantastyczne opowiadania lub urywek romansu. Posłuchajmy.

W małej wiosce Smólno, obok Brodów, żyła sierota Anuśka Liskówna, którą rodzice w dzieciń,stwie odumarli i biedne dziecko pozostało samo na szerokim świecie. Pełniąc najcięższe posługi u obcych ludzi, doszła do tych lat, w których budzi się umysł i serce do życia. Anusia, sama opuszczona i nieszczęśliwa — postanowiła słabe swoje siły poświęcić dla osłodzenia doli cierpiących. Staraniom jej powiodło się wreszcie, że w charakterze sanitaryuszki dostała do pewnego domu zdrowia w Kijowie.

Tu nauczyła się pielęgnowania chorych i sztuki masowania pod dozorem profesorów wszechnicy i jako maserka przez całych lat dwadzieścia spełniała w dzień i noc obowiązek samarytanki. Wojna rosyjsko japońska zastała Liskównę w „bolnicy" kijowskiej. Ustawicznie wysyłano nowe oddziały Czerwonego Krzyża na Daleki Wschód, każdy bowiem dzień przynosił mniejszą lub większą bitwę, ilość rannych codzień się zwiększała a z nią potrzeba pomnażania oddziałów sióstr miłosierdzia nowymi zastępami. W połowie lata wyjechała Anusia wraz z innemi koleżankami do Portu Artura. Żmudna i wytężająca praca czekała ją tutaj; wreszcie brak najprymitywniejszych wygód i chwilowego bodaj spoczynku wyczerpał wątłe siły kobiety i rzucił ją samą na łoże boleści. Niespodziewanie przyszła katastrofa: zdobycie twierdzy. Część wojsk, ludność cywilna, chorzy i maruderzy dostali się do japońskiej niewoli; między innemi została branką i Liskówna. Ze strony Japończyków doznawała nasza rodaczka jak najtroskliwszej opieki, a po wyzdrowieniu mogła była swobodnie wrócić do Europy. Obecnie znajduje się po kilku latach tułactwa znowu w rodzinnej swej wiosce.

Na rycinie widzimy Liskównę, ubraną w wysoki, biały kołpak, w jaki rosyjskie towarzystwo Czerwonego Krzyża ubiera sanitaryuszki. Na białym tym kołpaku widnieje czerwony krzyż, a na lewem ramieniu czarna opaska z czerwonym krzyżem.

Wystawa tkanin i ceramiki w Krakowie.

Hasło „Popierajmy przemysł krajowy", rzucone przez grono ludzi czynu i silnej woli, obudziło w Galicyi, zaniedbanej ogromnie na polu przemysłu, żywy ruch. Poczęto urządzać wystawy przemysłu krajowego, z których najświetniejszą była wystawa metalowa w Krakowie, poczęto urządzać w miastach prowincyonalnych odczyty, połączone z ruchomemi wystawami rodzimego wytwórstwa, zawiązywać Ligi przemysłowe i dziś już możemy się poszczycić, że przemysł nasz, w każdej jego gałęzi, stoi na wyżynie, nie tylko dorównując przemysłowi zagranicznemu, ale przewyższając go artyzmem i subtelnością wykonania. To zasługa młodego, ale już pięknie w dziejach naszego rodzimego wytwórstwa zapisanego towarzystwa polskiej sztuki stosowanej, której głównie staraniem urządzono obecnie w Krakowie wystawę tkanin i wyrobów ceramicznych.

Wystawa ta mieści się w pałacyku Czapskich przy ulicy Wolskiej. Urządzono ją tak, że daje ona doskonały przegląd współczesnej produkcyi polskiej w zakresie obu tych działów przemysłu.

Najwspanialej przedstawia się mała salka, którą osobno urządziło Tow. „Polska Sztuka stosowana". Ściany obwieszone kilimami i makatami, wykonanemi wedle pomysłów najwybitniejszych młodych pionierów swojskiej sztuki polskiej artystów malarzy i rzeźbiarzy jak np. Warchałowskiego, K.



Grupa lalek, przedstawiająca „Wesele krakowskie". Fot. E. Pierzchalski. Kraków.



Otomanka stylowa w sali Tow. Polska Szt. stos. Fot. E. Pierzchalski. Kraków.

Wystawa tkanin i ceramiki w Krakowie.

Tichego, Z. Mehoffera, K. Frycza, J. Raszki, J. Szczepkowskiego i innych. Zamieszczona obok fotografia przedstawia jeden róg tej sali.

W drugiej salce uderza przedewszystkiem prze-



Fot. E. Pierzchalski. Kraków.
Wystawa tkanin i ceramiki w Krakowie: Wspaniała waza z fabryki w Ćmielowie i kilimy p. Rychter-Janowskiej.

śliczna suknia stylowa pomysłu i wykonania zakładu Bronisławy Janowskiej. Suknia ta z prostego szarego płótna ozdobiona ślicznym haftem kwiatowym, ale wykonana z takim smakiem i gustem, że przykuwa wzrok każdego, taksamo jak ogólne uznanie zyskuje składany parawanik, również w tym zakładzie wykonany, przedstawiający na popielatem tle krakowiaka i krakowiankę, w barwnym stroju narodowym. Suknię, o której wspomnieliśmy wyżej, oraz ten parawanik podajemy na załączonej rycinie.

W tym samym pokoju ozdobionym kilimami z zakładu p. Rychter-Janowskiej, mogącemi stanowić cudowną ozdobę najwykwintniej urządzonego salonu, umieszczono też wyroby ceramiczne z fabryki z Ćmielowa w Król. Pol. Ilustracya nasza przedstawia wspaniałą wazę, wykonaną w wspomnianej fabryce. Główną salę zajmuje wystawa ceramiki. Najwspanialej reprezentowana jest tu fabryka ks. Lubeckiego w Chmielowie, która wystawiła garnitury stołowe w najprzedniejszych gatunkach.

Pracownia p. Leony Bierkowskiej z Suchej wystawiła obok mnóstwa innych przedmiotów grupę lalek, ubranych w stroje krakowskie, przedstawiającą krakowskie wesele. Wszystkie figurki pan młody, panna młoda i inne wykonane są z drzewa, a ubrane najściślej według żywych wzorów krakowskich. Lalki te są prześliczne, tylko trochę za drogie. Jedna kosztuje bowiem 200 koron. Na załączonej obok fotografii podajemy całą tę malowniczą grupę lalek.

Ogółem wystawa robi jak najlepsze wrażenie i jest najlepszym dowodem, że w dziale przemysłu



Zlot sokoli w Stanisławowie: Antoni Barancewicz, obecny prezes „Sokoła" stanisławowskiego.

artystycznego stoimy dzisiaj nawet wyżej od zagranicy.

Na wystawie przeważają wyroby tkanin. Niektóre makaty i kilimy, jak to już wyżej wspomnieliśmy, uderzają nietylko nader artystycznemi wzorami deseni, ale mistrzowskiem wykonaniem i doborową jakością materyału. Pokaźny dział obejmują też hafty kościelne; w dziale tym wybija się na pierwszy plan zakład p. Korbelowej w Krako-

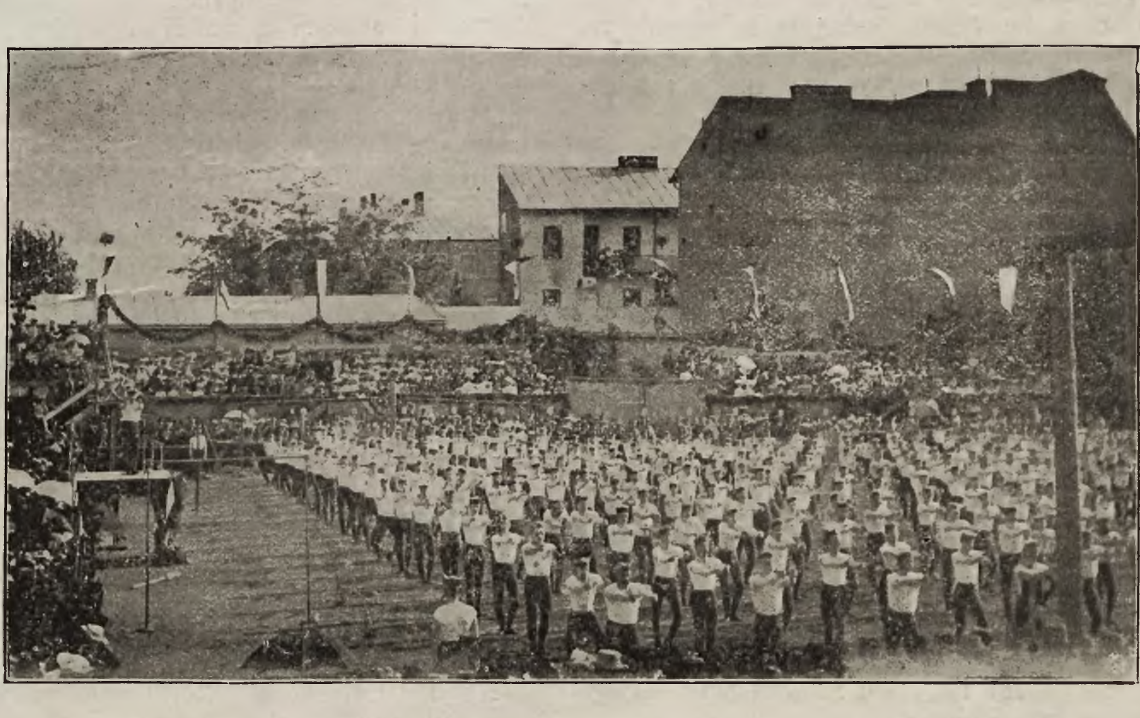


Fot. E. Pierzchalski. Kraków.
Wystawa tkanin i ceramiki w Krakowie: Wystawa p. Bronisławy Rychter-Janowskiej z Krakowa.

wie, który wystawił wspaniałe, złotem i srebrem tkane ornaty.

Mniej obficie reprezentowaną jest ceramika, ale też wyroby wystawione są ostatnim wyrazem doskonałości w tej dziedzinie naszego przemysłu.

Zamieszczone w niniejszym numerze zdjęcia fotograficzne z wystawy wykonane zostały w znanym zakładzie fotograficznym p. Pierzchalskiego w Krakowie.



Zlot sokoli w Stanisławowie: Ćwiczenia wolne na boisku.

ZE ŚWIATA.

Teatr poznański w Krakowie. — Zawód ze strony publiczności. — Usłużność dyrekcyi teatru krakowskiego. — Dziesięć rad dla letników. — Z dawnych dziejów Krakowa. — Ks. Biskup Gałecki i arcyksiążę Ludwik. — Protektorki biskupa. — Jego śmierć.

P. Rygier, dyrektor teatru poznańskiego, nie mogąc od sławetnego rządu pruskiego otrzymać koncesyi na występy swej trupy teatralnej po miastach prowincyonalnych zaboru pruskiego, a nie chcąc sposobem krakowskim na czas feryj letnich puścić artystów na „zieloną paszę“ bez gaży, przybył na występy do Galicyi. Sezon letni przepędzi w Krynicy, a po drodze daje przedstawienia po większych miastach. Oczywiście, przedewszystkiem zatrzymał się w Krakowie. Cała prasa krakowska przyjęła go przychylnie. „Nowości Illustrowane“ dały portret dyrektora Rygiera i grupę artystów jego teatru, pisząc przy tej sposobności, że Kraków przyjął gości poznańskich z niezmiernem zainteresowaniem i żywą sympatyą.

Tak jest, publiczność zajmowała się bardzo żywo artystami poznańskimi, rozprawiała dużo o teatrze poznańskim, który mimo tak trudnych warunków prosperuje, porównywała p. Rygiera z p. Kotarbińskim — ale sali teatralnej nie wypełniła. P. Rygier na swoich gościnnych występach dzięki gościnności Krakowian stracił kilka tysięcy koron. Przedewszystkiem dogorywająca dyrekcya teatru krakowskiego ze względów koleżeńskich kazała p. Rygierowi płacić słono za salę teatralną, ażeby do wieńca dawnych zasług dołożyć jeszcze jeden listek laurowy. Na uprzejmość ze strony dyrekcyi krakowskiej p. Rygier zapewne nie liczył, ale z pewnością także nie liczył na taki zawód ze strony publiczności polskich Aten. Artyści poznańscy grali wobec pustej prawie sali, a że mimo to grali dobrze, to już przypisać należy ich karności i sumiennemu pojmowaniu obowiązków. Zrobili swoje.

Pisałem o letnikach w poprzedniej pogadance mojej, występując przeciwko „sadzeniu“ się na zbyt kosztowne wilegiatury; obecnie chcę spisać garść uwag i rad ku pożytkowi tych, którzy mają się wybrać w letnią podróż.

Pierwsza rada: Nie czyń tak, jak rząd austryacki przy budowie kolei alpejskich, ale sporządź sobie o ile możności dokładny kosztorys podróży, ażebyś nie potrzebował prosić o dodatkowy kredyt w parlamencie Krakowskich Rothschildów.

Druga rada: Jeżeli masz jechać n. p. do Rytra albo do Tymbarku, albo do pierwszej lepszej wsi, to nie rozgłaszaj, że jedziesz do Zakopanego. Znajomi wyśledzą z pewnością miejsce twojego pobytu prędzej niż policya krakowska, i będą się naigrawać z ciebie do samej śmierci. Amen!

Trzecia rada: Nie sądź, jeżeli jesteś obarczony córkami, że je wydasz zamąż, obwożąc po kąpielach. Łowcy posagów szukają przedewszystkiem monety, a ludzie ostrożni boją się panien, które są przyzwyczajone do letnich wędrówek zdrojowych. I tak źle i tak niedobrze.

Czwarta rada: Jeżeli na wsi masz grać po całych dniach w preferansa, posyłać umyślnego do miasta po piwo i wieść wojnę z żoną o nowy kapelusz, to zostań raczej w Krakowie, gdzie sobie to samo urządzisz i taniej i lepiej.

Piąta rada: Jeżeli jedziesz na wilegiaturę dla poratowania zdrowia, dla pokrzepienia sił, to bacz, ażebyś nie powrócił z większym jeszcze reumatyzmem, z większą astmą, lub większym katarem żołądka.

Szósta rada: Jeżeli rachujesz na taniość, na kurczęta z sałatą, na jarzyny świeże, na gąski młode, to zasię bacz, ażebyś tych rzeczy nie musiał sprowadzać z Krakowa.

Siódma rada: Szukając wilegiatury, zwłaszcza wedle ogłoszeń, oceniaj wszystko odwrotnie. Las „pod bokiem“ leży zwykle w oddaleniu dwóch kilometrów; „widne, słoneczne“ pokoje bywają klitkami, wobec których nasze oficyny są pałacami; „rzeczne kąpiele“ bywają w potoku, sączącym się pośród ostrych kamieni; podwody, czekające na dworcu, są wtedy, gdy chłopi, przywiózłszy okolicznych żydków, mają wracać z pustemi wozami i t. d.

Osma rada: Co do świeżego powietrza, to pomyśl, że pomiędzy opłotkami wiejskiemi niema ścieków, ani miejsc ustępowych, że tam żyją ludzie i bydlątka, nie krępując się względami sanitarnemi, że na drogach jest albo straszliwy pył, albo też bezdenne błoto.

Dziewiąta rada: Nie rozwieszaj rzeczy na płocie, nie zostawiaj parasola w sieni, uważaj wogóle na swoją własność, ażebyś, powróciwszy do Krakowa, nie ujrzał na placu Szczepańskim jakiego Wojtka w twojej bluzie.

Dziesiąta rada (poufna): Zasię co do flirtu pamiętajcie, że Kaśka lubi czasem poczęstować napastliwego „zbereźnika“ pięścią, a Wojtek nie wyzywa na pojedynek, ale bije kłonicą lub kołem z płotu. (Nota bene nie mówię tego z własnego doświadczenia).



Zofia Czaplińska. Fot. Mazur. Lwów.

Wiem, że te rady nie trafią do przekonania tych, którzy obecnie, pełni różowych nadziei, wybierają się na świeże powietrze, ale i to wiem, że powróciwszy do Krakowa, niejeden powie sobie: „A jednak miał słuszność kronikarz „Nowości Illustrowanych“.

Zacząłem czytać „Pamiętnik Ziemiałkowskiego“. Zaraz na pierwszych prawie kartach znalazłem drobiazg, który warto przypomnieć Krakowianom. W r. 1873 przybył Ziemiałkowski, jako minister Galicyi z arcyksięciem Karolem Ludwikiem, protektorem Akademii umiejętności, do Krakowa na uroczystość jej otwarcia.

„Zwiedzałem — pisze Ziemiałkowski — z arcyksięciem Kopiec Kościuszki i klasztor Kamedułów, gdzie przeor in gratiam bytności tak wysokiego gościa pozwolił zakonnikom rozmawiać. Potraktował nas biszkoptami, dobrym węgrzynem i doskonałymi cygarami. Cygara u Kamedułów! I cóż dziwnego? Przecież palenie tytoniu nie jest rozmową, a służy do kontemplacyi, głównego zajęcia Kamedułów. Po tej wycieczce był obiad u delegata Bobowskiego, a gdy po obiedzie, jak to jest zwyczajem, arcyksiążę robił „cercle“, ks. biskup Gałecki, ówczesny administrator dyecezyi krakowskiej, nie czekając, aż arcyksiążę nas pożegna, przystąpił do niego i rzekłszy: „Ich habe die Ehre mich alleruntertänigst zu empfehlen“ — wyszedł z salonu. Biedny delegat poskoczył do arcyksięcia, by przeprosić za ten brak formy, lecz arcyksiążę roześmiał się i rzekł: „Der alte Herr wird wohl eine dringende Ursache zum weggehen gehabt haben“. (Musiał mieć gwałtowny powód do odejścia).

„Miałem ja potem — pisze dalej Ziemiałkowski — przez parę lat do czynienia z tym ks. Gałeckim. Stolica biskupia krakowska była od bardzo dawna osieroconą. Po usunięciu ostatniego biskupa krakowskiego z powodu nie kryjącego się jego patryotyzmu był administratorem dyecezyi krakowskiej ks. biskup *in partibus infidelium* Łętowski, po nim nastąpił Gałecki, rubacha i rozwiozłego życia. Wskutek tego, jakoteż z powodu, że nie troszczył się o obsadzenie opróżnionych przez śmierć miejsc w kapitule, tak, że ta zeszła na czterech niedołężnych starców, rozluźniła się moralność księży w całej dyecezyi. Jeden z kanoników podał zażalenie do stolicy apostolskiej; tensam kanonik przeszło 70-cio letni starzec, ogólnie szanowany, udał się i do mnie, jako ministra Polaka z prośbą, ażebym się postarał o usunięcie ks. Gałeckiego z administracyi tej biednej dyecezyi krakowskiej, przytoczywszy jego niegodny kapłana sposób życia“.

Ale ks. Gałecki w paniach krakowskich miał silne protektorki i dopiero po 2 latach na stanowcze oświadczenie rządu austryackieoo został usunięty. Jako dawny kanonik tarnowskiej kapituły pobierał po usunięciu go i pensyę kanonika i pensyę administratora dyecezyi krakowskiej. Umarł zapomniany w trzeciorzędnym hotelu w Wiedniu.

Zofia Czaplińska.

Gdyby spróbowała napisać pamiętnik, zebrałaby kilka pokaźnych tomów i to wcale interesujących.

Kapryśna „Ciapcia“ — jak ją tu wszędzie nazywają — zaczynała swoją karyerę sceniczną w Warszawie w teatrach ogródkowych, jako naiwna. Była na wszystkich scenach polskich: w Poznaniu, Łodzi, Krakowie i Lwowie, a chociaż wszędzie było jej dobrze, to jednak najlepiej czuła się we Lwowie, który też pokochała całem sercem. Ale bo też Lwów i ją szczerze pokochał, jak rzadko którą inną... Jedyna Klisia, stała ulubienica Lwowian, mogłaby iść z nią o lepsze, zresztą nikt. Tylko Kliszewska i Czaplińska potrafiły wyrobić sobie taką popularność, jaką spotykamy u najwybitniejszych artystów świata. One dowiodły, że i Lwów umie gorąco wielbić i kochać swoich artystów, ale trzeba na to zasłużyć.

A zasłużyła na to pani Czaplińska w zupełności.

Zaraz po pojawieniu się we Lwowie (za dyrekcyi Schmidta) objęła wszystkie naiwne i okazała się doskonałą artystką w całem słowa znaczeniu. Tu już odrazu zaznaczyć muszę, że od samego początku cały czar jej gry polega w głosie dziwnie miękkim, melodyjnym, serdecznym. Dzięki temu rola najzwyklejsza, sucha, staje się w jej interpretacyi na wskroś sympatyczną, miłą i nabiera tyle życia i uroku, że awansuje na rolę pierwszorzędną. A miała pani Czaplicka tych ról — całą furę.

Łatwo zrozumieć, że przy tym talencie i w tych warunkach mogła nabrać takiej rutyny, o jakiej tylko niewiele artystek marzyć może. W tym czasie wszystkie „naiwne“ stanowiły wyłączną i nietykalną własność pani Zofii Czaplińskiej, z którą nawet żadna artystka nie byłaby się ważyła popróbować. Nieco później porzuca naiwne po większej części i bierze (to już za Hellera) młode mężatki, kokietki.

Najlepsze jej role z tych czasów to: Rózia w „Walce motyli“, Zośka w „Karykaturach“, Alma w „Honorze“ i wiele innych. Jak grała — wie każdy. Słodycz i serdeczność w grze były — i zdaje się — zostaną *hors concours*. Lwów nosił ją po prostu na rękach.

Mimo to Ciapcia za dyrekcyi Hellera opuściła Lwów na lat kilka. Dała się w tym czasie uprosić do gościnnych występów w lwowskim teatrze ludowym. Było to zeszłego roku. Afisz, zapowiadający gościnne występy ulubienicy Lwowa, zelektrywał całe miasto.

Skromna sala teatru ludowego groziła pęknięciem, setki osób odeszły od kasy bez biletów. Czaplińska grała Julkę w „Dworze we Włodkowicach“. Przyjmowano ją z entuzyazmem nie do opisania. Przyszli na to przedstawienie goście, jakich przedtem teatr ludowy nie widział. Piniński, Badeni, Małachowski, Pawlikowski... ktoby ich zliczył? Przyszli zobaczyć i usłyszeć swoją dawną ulubioną i tyle podziwianą Ciapcię. Zasypano ją kwiatami, zahukano oklaskami...

W teatrze ludowym wystąpiła kilkanaście razy. Równocześnie grała gościnnie dwa razy na scenie teatru miejskiego. I znów znikła.

Teraz dopiero wraca marnotrawna córa do ukochanego miasta i ślubuje sobie, że nigdy go już nie opuści. Teatr miejski zyskuje w niej pierwszorzędną, doskonałą artystkę, ale i nieposplitą atrakcyę dla szerokiej publiczności. Tutejsza bowiem publiczność pamięta dobrze swoją ulubienicę i chętnie spieszy do teatru, ile razy na afiszu znajdzie się nazwisko pani Czaplińskiej. Jak bardzo jest tu popularną, trudno wierzyć. Wszyscy witają Ciapcię entuzyastycznie, wszyscy ją znają i cieszą się że wróciła... nawet kupcy, u których kupuje, nawet listonosz, który jej listy oddaje.

Bo pani Czaplińska ma ten rzadki dar, że z łatwością podbija wszystkich: mężczyzn i kobiety, dzięki czemu sztab swoich entuzyastycznych wielbicieli oblicza na grube tysiące.

We Lwowie wystąpiła po raz pierwszy jako Gilberta „W jaskini lwa“. Publiczność powitała ją oklaskami i kwiatami.

Obecnie grywać będzie kokoty, młode mężatki i analogiczne. Teatr lwowski przy teraźniejszych zmianach zyskał w pani Czaplińskiej bardzo wiele...

Klewe.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Historya bitwy pod Cuszimą będzie niezmiernie trudną do napisania. Ze wszystkich dotychczasowych raportów zarówno rosyjskich i japońskich widać, że najbardziej fachowi jej uczestnicy znają warunki, wśród których bitwa się rozpoczęła, znają potem skutki bitwy, o przebiegu jej jednak mają tylko mętne pojęcie. Jeden tylko admirał Togo i jego sztab muszą wiedzieć o tyle więcej, że plan swój oparli na szeregu hipotez. I oni jednak nie są w stanie z całą ścisłością twierdzić, że rzeczy dokonały się tak a nie inaczej, już chociażby dlatego, że skutek przeszedł zapewne najbardziej optymistyczne przewidywania wodzów japońskich.

Admirał Togo podobno do ostatniej chwili był przekonany, że admirał Rożdiestwieński postanowił płynąć przez cieśninę Tsugarou. Faktem jest w każdym razie, że osobiście kierował do ostatniej prawie chwili przygotowaniami obronnemi w tej cieśninie i że dopiero wkrótce przed samą bitwą pojawił się w Mosampo. Był w tem może podstęp wojenny: admirał może wiedział o wywiadowcach rosyjskich, którzy śledzili jego ruchy i umyślnie wprowadził ich w błąd przedłużoną swoją obecnością w północnej Japonii.

Dla ogółu w Tokio pojawienie się Rosyan przed cieśniną koreańską było tak samo niespodzianką jaką było dla całego świata. Skoro rozeszły się wiadomości o pojawieniu się floty rosyjskiej przed Szangajem, niepewność ogarnęła opinię japońską. Nie przypuszczano w każdym razie, aby bitwa mogła się zacząć przed dniem 28 maja. Czy tę niepewność dzieliła także admiralicya, oczywiście nie wiadomo. W każdym razie nie wpłynęło to w niczem na opóźnienie przeciwdziałania za pomocą szybkiej akcyi zaczepnej.

Kiedy w dniu 27 maja o godz. wpół do 9-tej zrana zjawiła się tuż przed niemi i zawiązała krótką wymianę strzałów w bardzo dalekiej odległości i szybkim odwrotem pociągnęła za sobą flotę rosyjską w głąb przystani, zawiadomiony o tem admirał Togo około godz. 9 zrana odpłynął z Mosampo i zwróciwszy się w stronę, z której mógł uderzyć na lewe skrzydło z tyłu postępującej floty rosyjskiej, część swojej eskadry wysłał ku północnemu wschodowi z poleceniem, aby w krytycznej chwili uderzyła na front rosyjskiej eskadry. Sygnał, wydany przez okręt admiralski Toga „Mikasę“, brzmiał: „Los państwa zależy od tej bitwy. Japonia czeka od was, aby każdy spełnił swój obowiązek“.

Spotkanie nastąpiło o godz. wpół do 2-ej w południe. Zaczął się pojedynek artyleryjski na wielką odległość. Zerwał się wtedy wielki wicher od strony północno-zachodniej. Ogromne fale niezmiernie utrudniały kierowanie mniejszemi zwłaszcza okrętami.

Eskadra Rożdiestwieńskiego wskutek słabszej szybkości nie mogła ustanawiać dowolnie dystansu walki, nie mogła więc dostatecznie zbliżyć się do przeciwnika i powiększyć szanse oszczędzania swojej średniej artyleryi.

Z drugiej strony szyk, zarządzony przez wodza rosyjskiego, okazał się błędny. Zamęt w oddziale Niebogatowa i w przednim oddziale kapitana Szena i zamieszanie się okrętów, wepchnęło pancerniki w stronę wybrzeży japońskich, gdzie ukryte były miny podwodne. Ofiarą jednej z tych min pierwszy padł pancernik „Borodino“, którego załoga w chwili, gdy okręt tonął, strzelała jeszcze z dział.

Około godziny 3 popołudniu rozprzężenie było kompletne. Okręty nie odpowiadały na sygnały Niebogatowa, który po ciężko rannym Rożestwieńskim odebrał dowództwo. Flota nie była w stanie wykonać żadnego zbiorowego ruchu. Atak floty japońskiej był tak nagły i silny, plan ataku tak zupełnie nieprzewidziany, że panika ogarnęła załogi. Ogień artyleryjski Japończyków, jakkolwiek z dalekich dawany odległości, był nadzwyczaj celny.

Komendant jednego z torpedowców w rozmowie z korespondentem „Daily Telegraph“ streścił wrażenia swoje w następujących pełnych grozy słowach: — „Fale morskie piętrzyły się do niebywałych wysokości. Tysiące granatów, wymienianych przez obie floty, wyglądały tak, jak gdyby strumienie ognia lały się przez powietrze na długich przestrzeniach, dochodzących do wielu setek metrów. Marynarze wszystkich okrętów pławili się poprostu w wodzie, zalewającej pokłady olbrzymiemi bałwanami. Słona woda gryzła im oczy, tak, że formalnie ślepli.

I to trwało przez całe dwanaście godzin. — Obcierali sobie jednak wszyscy twarz łachmanami i niewzruszeni pracowali nad ładowaniem i nastawianiem dział. Wielu ludziom skóra schodziła z nosa, z policzków, z czoła i powiek. Kłęby dymu raz po raz osłaniały powiewające na masztach sygnały. Co chwila rozdzierały widnokrąg błyskawice wystrzałów i godzina za godziną brzmiał nieprzerwany huk dział.

Marynarze zaspokajali głód twardemi sucharami, które żuli, nie przerywając walki. Niektórzy rozmiękczali je w wodzie morskiej, inni nawet w krwi z świeżych ran.

Mowa ludzka jest zbyt uboga, aby opisać ogrom grozy tych strasznych chwil. Ludzie padali nie tylko wskutek ran, ale i wskutek głodu i pragnienia, wyczerpania nerwów, wstrząśniętych przerażającym widokiem zniszczenia i śmierci.“

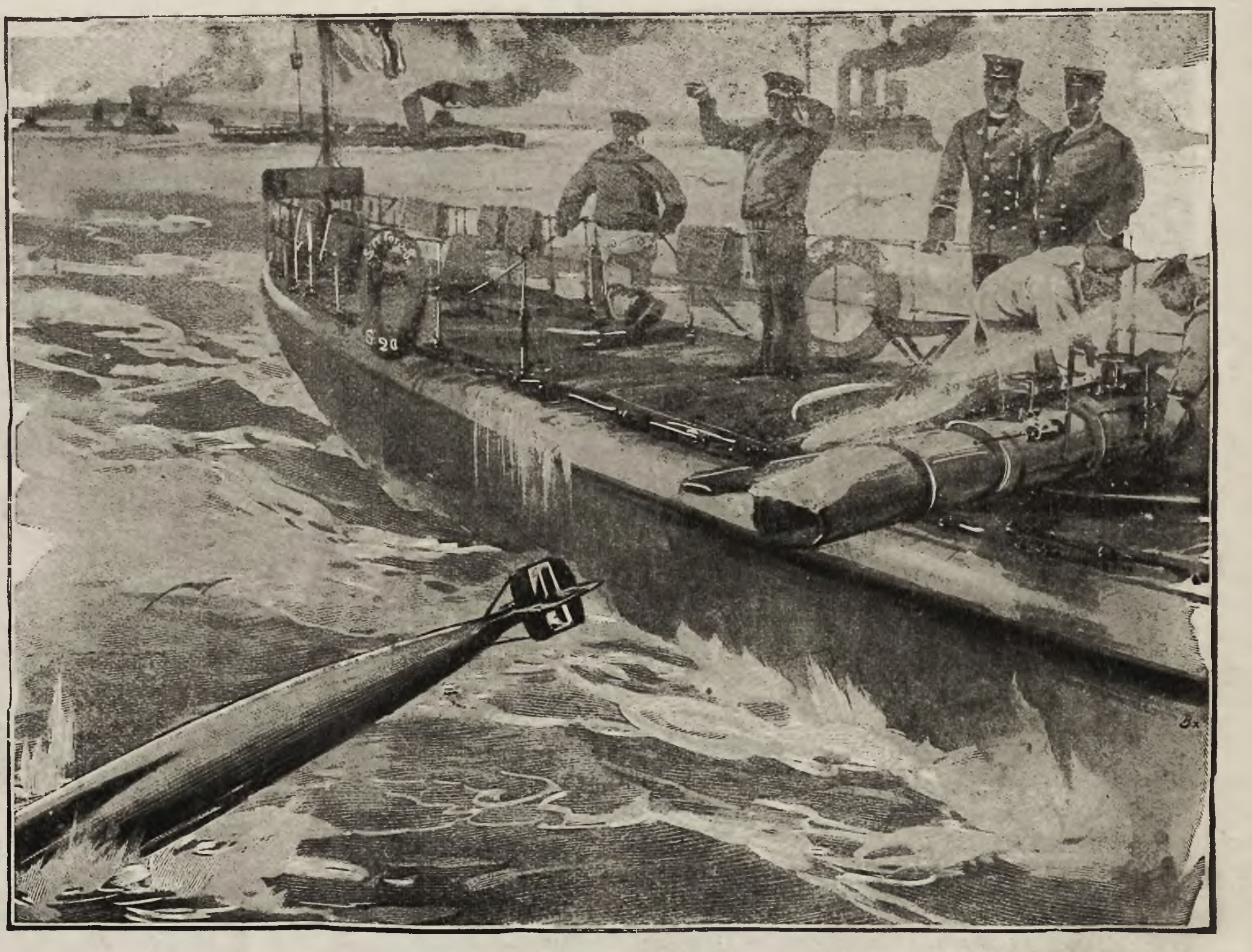
Straszny zaiste obraz!

Pod jaką nazwą przejdzie do historyi ta bitwa, największa w dziejach, jaką kiedykolwiek dwie morskie potęgi ze sobą stoczyły?

Dzisiaj wszyscy piszą o bitwie pod Cuszimą i to określenie jest najtrafniejsze, gdyż odpowiada zarówno wyspie, jakoteż i cieśninie Cuszima, a więc podaje dokładnie teren bitwy. Jak doniosły niektóre dzienniki angielskie, admirał Togo wyraził życzenie, ażeby zwycięska jego walka z flotą rosyjską otrzymała nazwę „bitwy na morzu Japońskiem“. Niektórzy opowiadają, że może dziejopisarze japońscy będą mówić o bitwie w cieśninie Krusensterna, a to w tym celu, ażeby zaznaczyć, że Rosya poniosła klęskę na wodach, które noszą nazwisko rosyjskiego podróżnika.

Cieśnina Cuszima nie jest głęboką i tylko w samym środku łożysko jej ma głębokość, przewyższającą nieco 100 metrów.

Równie znaczna część morza u północnego ujścia cieśniny jest płytką, mając głębokość 100 do 120 metrów, skutkiem czego zatopione tam okręty rosyjskie będzie można dosyć łatwo wydobyć. Charakterystyczną jest ta okoliczność, że do dzisiaj nie wiadomo, czy wyspa Cuszima jest jednolitą, czy składa się z dwóch części. Na Cuszimie znajduje się zatoka,



Z wojny ros.-jap.: Wyrzucanie torpedy z łodzi torpedowej japońskiej.



Z wojny ros.-jap.: Straż nocna na pokładzie pancernika japońskiego na kilka godzin przed bitwą pod Cuszimą.



Z wojny ros.-jap.: Guślarz japoński odprawia nabożeństwo błagalne o zwycięstwo.



Z wojny ros.-jap.: Japońscy żołnierze pokrzepiają wodą ciężko rannego jeńca rosyjsk

wrzynająca się wąskim pasem bardzo głęboko w ląd. Otóż na niektórych mapach pas ten przerzyna całą wyspę, na innych zaś pozostaje pomiędzy nim a morzem po drugiej stronie wyspy wąski skrawek lądu. Wyspa Cuszima posiada wybrzeże bardzo rozwinięte, bogate w wygodne zatoki i stąd pochodzi nazwa jej: „Cu-szima“, to znaczy: „wyspa zatok“. Powierzchnię Cuszimy obliczają na 678 kwadratowych kilometrów. Południowa jej część jest więcej górzysta niż północna, cała zaś przestrzeń jej zalesiona jest obficie. Na Cuszimie powstała w VII wieku po Chrystusie pierwsza kopalnia srebra.

Cuszima należy do tak zwanej dawnej Japonii, czyli do pierwotnej krainy, gdy nową Japonią nazywają się nabyte później wyspy, jak np. Kuryle, Jesso, Formoza. Tworzy osobną prowincyę i liczyła wedle spisu z dnia 31 grudnia 1899 r. 37.900 mieszkańców, z czego przypada 8300 na stolicę Isugahara, lub Tsuhara, leżącą w południowo-wschodniej części wyspy. Isugahara nazywała się dawniej Fuczu i była w czasach feudalnych siedzibą „daimia“, który tytułem podatku składał mikadowi 100.000 „koku“ ryżu. Jeden „koku“ miał naówczas wartość około 20 koron. Z Fuzanem na Korei, tudzież za pośrednictwem Ikiszymy z Kiusziu połączona jest Cuszima podmorskim telegrafem, cieśniną zaś Cuszima idzie kabel z Nagasaki do Władywostoku.

Nie po raz pierwszy występuje w dziejach Japonii równie cieśnina Koreańska, jakoteż i cieśnina Cuszima. Tędy prawdopodobnie wtargnął do Japonii żywioł mongolski z azyatyckiego lądu stałego. Wyspa Cuszima tworzyła i dzisiaj tworzy pomost pomiędzy Japonią i Azyą. O ile wiadomo, bliższe stosunki pomiędzy Koreą i Japonią powstały w pierwszym wieku po narodzeniu Chrystusa. Naówczas istniało w południowej Korei kilka niezawisłych państewek. Państewko Mimana wezwało Japończyków na pomoc państewku Sziragi. W roku 202 po narodzeniu Chrystusa wdowa po mikadzie Czuai, znana dotąd z pieśni ludowych Okinaga Tarani Hime, postanowiła owe państwa pobić i urządziła wyprawę do Korei, stanąwszy osobiście jako dowódca na czele floty i wojska lądowego. Monarchowie drobnych państewek w Korei poddali się i odtąd przez półpięta wieku znajdowały się tam japońskie załogi wojskowe. Dopiero w VII wieku po Chrystusie południowa Korea wyparła Japończyków przy pomocy Chin, które rządziły północną Koreą. W późniejszych czasach wyspa Cuszima odgrywała często rolę pomostu pomiędzy Koreą a Japonią, a dzisiaj prawdopodobnie Japończycy znowu zawładną Koreą, gdzie w rzeczywistości rządzą już od początku wojny.

Ogólna liczba Rosyan, wziętych do niewoli w bitwie pod Cuszimą, wynosi 6142. Z tego Japończycy wypuścili już na wolność 65 lekarzy i duchownych, a w najkrótszym czasie wypuszczą jeszcze ze stu oficerów, którzy dadzą słowo honoru, że w obecnej wojnie udziału już brać nie będą.

Jak wiadomo, Japończycy zdobyli w ostatniej bitwie z Rosyanami 4 pancerniki. Wielkie te okręty wojenne otrzymały już nazwy japońskie i zostały wcielone do floty japońskiej. Pancernik „Oreł“ przechrzczony został na „Swami“, „Mikołaj I“ na „Iki“, „Admirał Apraxin“ na „Okinaszima“, „Admirał Semiawin“ na „Minuszima“. Kontrtorpedowiec „Biedowy“, na którym wzięto do niewoli Rożdiestwieńskiego, nazwali Japończycy „Hatsuki“.

Rosya, jak to już w poprzednim numerze zaznaczyliśmy, po bitwie pod Cuszimą przestała już być morską potęgą. Siły morskie, jakiemi jeszcze dzisiaj rozporządza, przedstawiają się następująco:

W warsztatach znajdują się na ukończeniu dwa pancerniki, każdy o pojemności 16.000 ton; w r. 1903 spuszczono na morze pancernik „Sława“ tego samego typu, co „Borodino“, z r. 1887 pochodzi pancernik „Aleksander II“. Do tego doliczyć należy pancernik „Cesarzewicz“, rozbrojony w Tsingtau. Dalej są: krążowce opancerzone: „Pamiat' Azowa“ z r. 1888 (6774 ton) i „Admirał Korniłow“ z r. 1887 (5800 ton), znajdujące się na morzu, oraz „Askold“ z 1900 r. (5900 ton), rozbrojony w Szanghaju i „Diana“ z r. 1899 (6650 ton) obecnie w Saigonie.



Z wojny ros.-jap.: Rosyjski kapitan przesłuchuje przebranego za Chunchuza szpiega japońskiego.

We Władywostoku stoją krążowniki pancerne: „Rosia" z r. 1896 (13900 ton) i „Gromobój" z r. 1899 (13400 ton). O tym ostatnim krążą wieści, iż w czasie bitwy pod Cuszimą wypłynął z portu, natknął się na minę i zatonął; wieści te nie znalazły dotychczas potwierdzenia urzędowego. We Władywostoku znajduje się również krążowiec II klasy „Bogatyr" i ocalony z bitwy pod Cuszimą takiż okręt „Ałmaz".

Ogółem więc Rosya posiada obecnie 5 pancerników, 5 krążowców pancernych i 2 krążowce 2-ej klasy, nie licząc floty Czarnego morza, która ma znaczenie lokalne, składa się zaś z 8 pancerników, przeważnie typu dawniejszego i trzech krążowców I klasy.

Wogóle straty Rosyan w obecnej wojnie przedstawiają się straszliwie. Według źródeł i dokumentów urzędowych rosyjskich straty w zabitych, rannych i wziętych do niewoli Rosyan w ciągu 14 miesięcy wojny są następujące:

Nad Szaho 45.000 ludzi, w Porcie Artura i pod Kinczu 45.000 ludzi, pod Liaojanem 26.000, pod Haiczenem 15.000, pod Wafanku 4.000, pod Tiurenczenem 2.400, pod Sichoczenem 1.900, pod Tasziczao 700, pod Sichojanem 1.360, pod Kajczu 240, pod Sandepu 10.400, pod Mukdenem 175.000 w bitwach morskich i drobnych potyczkach 9.900, ewakuowano z teatru wojny miesięcznie po 7.000 chorych, tj. razem 100.000.

Ogółem, według tego zestawienia straty armii rosyjskiej wynoszą 435.000 ludzi, w rzeczywistości jednak muszą być większe, gdyż np. w Porcie Artura Rosyanie utracili daleko więcej żołnierzy.

Straty w materyale wojennym wynoszą przeszło dwa miliardy rubli, oprócz strat floty rosyjskiej pod Cuszimą, obliczonych na okrągłe 150 milionów rubli, oraz kosztów ekspedycyi Rożdiestwieńskiego na Daleki Wschód.

Jak szybko wzrastają koszta wojenne Rosyi, świadczy wymownie ta okoliczność, że gdy w rocznicę wybuchu wojny prasa robiła bilans jednego roku, obliczała straty Rosyi na przeszło miliard, po czterech miesiącach straty te wzrosły o przeszło drugie tyle.

Komisya pod przewodnictwem generała Roopa, wydelegowana do zbadania przyczyn kapitulacyi Portu Artura, stwierdziła na podstawie dokumentów, przedłożonych jej przez generała Stoessla, iż stan twierdzy nie odpowiadał wymogom współczesnym. Jeszcze na długo przed wybuchem wojny wezwano admirała Aleksiejewa, aby zdał sprawę o stanie twierdzy. Na ufortyfikowanie i uzbrojenie Portu Artura wydano przed wojną 18 milionów rubli, mimo to z chwilą wybuchu wojny nie było prawie amunicyi, forty były bardzo słabe, a kasa pusta. Na konieczne wypadki musiał generał Fok czerpać pieniądze z funduszów, należących do sztabu polnego.

Komisya przeglądała dotychczas tylko dokumenty, świadków dotychczas jeszcze nie przesłuchiwano. Przesłuchiwani będą oficerowie, tak znajdujący się obecnie w Petersburgu, jak i w niewoli japońskiej. Tym ostatnim zadane będą pytania na piśmie. Chodzi głównie o zeznania byłego komendanta Portu Artura, gen. Smyrnowa.



Z wojny ros.-jap.: Nabożeństwo w obozie rosyjskim.

Pisaliśmy już niejednokrotnie o skromności bohaterskich wodzów japońskich. W ostatnich doniesieniach angielskich z Tokio, znajdujemy jednak jeszcze jeden przykład nadzwyczajnej tej cnoty Japończyków. Chodzi tu o zdobywcę Portu Artura, generała Noghi.

Dzienniki japońskie ogłosiły wielce charakterystyczny list generała Noghi do ministra wojny, generała Tranchi. Treść tego listu, wysłanego w kilka dni po zdobyciu Portu Artura, jest następująca:

„Przesyłam panu najserdeczniejsze życzenia Nowego Roku. Jedyne uczucie, którego doznaję w tej chwili, to uczucie wstydu i bólu, że tyle ludzi, tyle amunicyi i tyle czasu stracić musiałem dla dzieła jeszcze nieskończonego. Ponieważ wyczerpała się nareszcie cierpliwość generała Stoessla, więc kapitulował, a w ten sposób udało nam się przynajmniej w tych stronach terenu wojennego spełnić powierzone nam zadanie. Nie mam żadnego usprawiedliwienia wobec naszego cesarza dla tej nie naukowej i niestrategicznej walki siły brutalnej. Ale na szczęście, przygotowania nasze są już ukończone i z wielką radością wyczekujemy rozkoszy wojny polowej.

Pozwól mi pan jeszcze — pisze dalej Noghi, dotknąć innego przedmiotu. Może to panu wyda się zabawnem, ale co do mnie, to silniej niż kiedykolwiek jestem obecnie przekonany, że dla dyscypliny wojskowej i wartości armii jest rzeczą wielce szkodliwą, gdy przyzwyczai się w czasach pokojowych dbać o różne kosztowne, a bezużyteczne fatałaszki. Proszę mi wierzyć, że nie przesadzam, jeżeli zapewnię z całą stanowczością, że dla podtrzymania ducha wojskowego niezbędna jest w równym stopniu prostota, jak oszczędność i tresura moralna. Nie chodzi mi wyłącznie o okres wojny obecnej, bez względu na to, jak długo on potrwa. Skoro huk dział umilknie, trzeba dbać o to, aby wśród żołnierzy naszych nigdy nie zagnieździł się zły obyczaj ubierania się według upodobań, nie mających nic wspólnego z duchem wojskowym.

„Dziękuję panu za słowa współczucia, przesłane mi z powodu śmierci dwóch synów, i proszę mi wybaczyć moją długą militarną niezręczność".

Dla właściwego zrozumienia słów powyższych wypada nadmienić, że w armii japońskiej zaczęła się zjawiać tendencya małpowania wojsk, a mianowicie oficerów europejskich, kładących tak silny nacisk na piękność i elegancyę mundurów, oraz życie wesołe podczas pokoju. Przeciw tym tendencyom właśnie protestuje generał Noghi.

Jakie to charakterystyczne, że generał Noghi nie tylko nie przypisuje sobie żadnej zasługi w zdobyciu Portu Artura, ale stara się wprost obniżyć wartość swoich zasług. Jak wobec tego wyglądają raporty wodzów rosyjskich, zapowiedzi ich ofenzywy, szumne, hałaśliwe, a jednak — śmieszne, bo nigdy do celu nie prowadzą. Jest to najlepszym dowodem, jak Japończycy przerośli Rosyan, jak wyżej od nich stoją. Taką skromnością, jak zdobywca „twierdzy nie do zdobycia" może się poszczycić jedynie człowiek wysoce kulturny i wysoce inteligentny.

Na skutek noty prezydenta Roosevelta, wystosowanej do cara i mikada w sprawie pokoju, zaczęto w Europie i w Azyi dużo mówić o warunkach pokojowych itd. Jedna rzecz stanowiła jednak niemiły zgrzyt w pogodnej harmonii pokojowej. Oto pierwsze, niezdecydowany car, który co godzinę zmienia swoje zdanie o wojnie, zależnie od tego, z kim konferował przed godziną, z drugiej zaś strony Japonia, której nie spieszno pokój zawierać. Marszałek Oyama miał podobno na ręce mikada przesłać energiczny protest przeciwko zawarciu pokoju, dopóki Japończycy nie zdobędą Charbinu, Władywostoku i nie zajmą Sachalinu. Zdaje się więc, że dopiero bitwa lądowa z Liniewiczem rozstrzygnie o tem, czy wojna będzie dalej prowadzona, czy nie.

Wojna obecna wywarła nieopisany wpływ na Chiny. Poseł chiński na dworze wiedeńskim w rozmowie o rokowaniach pokojowych Rosyi z Japonią, wyjaśnił stanowisko Chin w następujący sposób:

— Chiny, mówił, chętnie powitałyby zawarcie pokoju w Azyi Wschodniej. Ale równocześnie życzą sobie, by to był pokój trwały, który posiadałby i dawał rękojmię, że na lata całe nie przyjdzie do rozlewu krwi.

— Wielka wojna, ciągnął dalej, której świadkami jesteśmy teraz, wywarła w całych Chinach niesłychane wrażenie. Wywołała ona następstwa



Z wojny ros.-jap.: W obozie japońskim w Mandżuryi: Żołnierze na przedstawieniu teatralnem.

doniosłe dla Chin, przyspieszy postęp, rozwój i reformy w mojej ojczyźnie. Już podczas wojny Chiny zabrały się do przeprowadzenia reform.

Najważniejszym postępem, jaki się przejawił w Chinach i teraz się krystalizuje, jest centralizacya armii i wogóle centralizacya instytucyi. Obydwaj główni komendanci wojsk w Chinach, książę Czing i wicekról prowincyi Peczili, Yuanszikkai, ustawicznie tudzież energicznie działają w tym kierunku. Dzięki nim wojska wicekrólów, tudzież gubernatorów krystalizują się coraz to wyraźniej w jednolitą armię państwową. Wzorem jej urządzenia, uzbrojenia, regulaminu i wykształcenia wojskowego są armie europejskie, tudzież japońska.

Tak więc wojna wywarła następstwa doniosłe w kierunku zmodernizowania Chin, a przedewszystkiem ich armii.

— Myślimy, oświadczył poseł chiński, także i o zaprowadzeniu konstytucyi tudzież parlamentu. Rozumie się, że taka reforma przedstawia wielkie trudności z uwagi na ogrom państwa. Mimo to myśl zaprowadzenia w Chinach instytucyi konstytucyjnych napotyka coraz więcej zwolenników i coraz głębiej zapuszcza korzenie. Poprzedni poseł w Londynie, Lofaoglu, ongi sekretarz Lihungczanga, i teraźniejszy poseł w Paryżu, Sun, są gorącymi propagatorami reform konstytucyjnych. Tak samo inni dyplomaci chińscy na dworach europejskich uważają powyższe reformy za pożądane.

Owe reformy muszą rozwijać się zwolna, organicznie. Wówczas będą trwałe. Nasamprzód przygotowywać ludzi, którzy byliby zdolni spełniać odpowiednie funkcye. Trzeba więc wysyłać możliwie największą ilość młodzieńców, inteligentnych i majętnych do Europy, trzeba, by ta młodzież uczyła się wiele i pilnie. Wicekról Nankinu i inni gubernatorzy, pracują w tym kierunku.

— Kształcimy, zapewnił dyplomata, prawników w zasadach praw europejskich, gdyż bez licznego zastępu dzielnych prawników nie zdołamy odświeżyć i zreformować Chin.

KRONIKA LWOWSKA.

(Na co szach przyjechał do Lwowa? — Gościnność. — Chorągwie. — P. Starck dekoruje. — Pamiętnik szacha. — Wojskowy Lemberg. — Muzyka a jeden hymn. — Strzelanie do szacha. — Źle zrozumiane życzenie szacha. — Kobiety we Lwowie. — Wszystko widać. — Końska policya a szach. — Jak się porozumiewali. — Pan Brzezicki i jego żona. — Kuchnia. — Tylko $1^1/_2$ korca owoców. — Straż honorowa. — Zamożny kraj. — Petenci a kupcy. — Ordery. — Przejażdżka po mieście. — Galowe przedstawienia w teatrze i Colosseum. — Zakupy. — Ogórki. — Coś do wagonu. — Obrona p. Michalskiego. — Z pobudek patryotycznych. — Spalona markiza. — Pokrewne kultury. — Co to jest księgarnia. — Wietrzenie hotelu. — Lwów pod wodą. — Kanalizacya).

Ażeby się przekonać, czy Lwów zasłużył na nazwę pół-Azyi, ażeby dziennikom dostarczyć sensacyjnych tematów, ażeby wzbogacić dzierżawcę hotelu Żorża p. Brzezickiego, ażeby zjeść kilkaset kiszonych ogórków i kilka porcyi barszczu polskiego, oraz dać się opisać przez p. Schlesingera, ażeby poznać namiestnika hr. Potockiego, komenderującego Fiedlera, wiceprezydenta Michalskiego, restauratora na Wysokim Zamku p. Wenzla i inne znakomite osobistości naszego miasta, o których tyle słyszał w Persyi — przyjechał szach perski Muzzafer ed-Din do Lwowa.

Wizyta szacha była wprawdzie nieoficyalna, jednak Lwów pokazał, że umie być gościnnym nawet dla nieoficyalnych gości. Szach zastał nasze miasto prawie nieprzygotowane. Nie mieliśmy czasu nauczyć się po persku i dlatego musieliśmy z gośćmi naszymi rozmawiać kiepsko po francusku a przeważnie na migi. Nie wiedziano z początku jak ma wyglądać chorągiew perska. To też zarząd hotelu Żorża poszedł do głowy po rozum a na strych po wszystkie znajdujące się tam chorągwie i wywiesił „fany“: austryacką, polską, niemiecką, angielską, holenderską, grecką, włoską i papieską, w tej nadziei, że jedna z nich będzie chyba perską. Tymczasem pokazało się gdy przyjechał marszałek szacha, że to wszystko do niczego i na prędce wymalowano chorągiew perską z lwem i słońcem, akuratnie jak na szacha szachów przystało. Z kupców tutejszych **jedyny** p. Gabryel Stark, który przy każdej sposobności pierwszy dekoruje swój handel i tym razem wywiesił kilka chorągwi rozmaitych narodowości. Sam przyjazd i pobyt szacha znany jest Szan. Czytelnikom z opisów w dziennikach lwowskich i krakowskich. O wiele ciekawsze są spostrzeżenia, jakie szach porobił w naszem mieście i zanotował w swoim pamiętniku. Dzięki uprzejmości jednego z dworzan szacha udało mi się zaglądnąć do tego pamiętnika. Oto zapiski szacha:

„Galicya jest krajem wojskowym, a jej stolicą jest Lemberg. Wprawdzie mówiono mi później w hotelu, że to miasto nazywa się inaczej, ale nazwy tej nigdy nie słyszałem. W mieście tem mieszka tylko wojsko i trochę cywilnej hołoty. Na dworcu oczekiwało nas wojsko. Z daleka strzelano do nas z armat, ale ani mnie, ani nikogo z mojej świty, nie zastrzelono. Dziwny sposób witania gości. Kilka razy omal z powozu nie wypadłem. Nawet muzykanci są tam wojskowi i grają wyłącznie na wojskowych trąbach. Prócz hymnu perskiego nic nie grają. Cieszy mnie, że nawet nasza muzyka przyjęła się tak pięknie w innych krajach. Po drodze do miasta byłem w złym humorze z następującego powodu. Słyszałem, że w Lembergu są piękne kobiety. Prosiłem więc z góry, ażeby mię same tylko kobiety oczekiwały na dworcu z wykluczeniem mężczyzn. Ale ten durny język francuski, którym władam dość słabo, sprawił, że mię źle zrozumiano i zamknięto peron dla kobiet, dopuszczając samych mężczyzn. Gadajże z waryatami! Wzdłuż wszystkich ulic, któremi przejeżdżałem, ustawiono wojsko. Gdybym był się tego spodziewał, byłbym się przynajmniej ogolił. Za wojskiem ustawiono mężczyzn i panie, panie, panie. Co za piękne kobiety! Tylko, że wszystkie są białe jak dyabły.

Wszystkie są nago ubrane. Wszystko widać. Jak ci mężowie na to pozwalają? Dziewcząt od kobiet zamężnych nie można w Galicyi odróżnić. Wszystkie jednakowe. Mówili mi moi dworzanie, że to europejska kultura. Obok mnie konno jeździli jacyś żołnierze, o których dowiedziałem się potem, że to końska policya. Bo tu służą przy policyi konie i ludzie. Konie służą do rozpychania i tratowania ludzi i wogóle do robienia porządków. Taką końską policyę muszę zaprowadzić u siebie zaraz po powrocie do Teheranu. Miasto przypomina miejsca kąpielowe. Wszędzie zieleń. A może jechaliśmy tylko zielonemi ulicami.

Przyjechaliśmy do hotelu, gdzie muzyka znowu grała nasz hymn. Burmistrz z kandelabrem w ręku zaprowadził mię do sali, gdzie pani burmistrzowa wręczyła mi kwiaty i coś do mnie mówiła, ale nie wiem co. Dwa słowa były nawet podobne do perskich. Potem dowiedziałem się, że to nie był burmistrz, ale właściciel hotelu, czy coś podobnego. Porządny i usłużny człowiek, a przytem gościnny. Najgorsze było, że ani ja ani nikt z mojej świty nie mogliśmy z nikim tu się porozumieć. Oni tu mówią niby po francusku, my tu mówimy z nimi niby po francusku, ale to wszystko razem nic. Pytamy o to, odpowiadają na owo. Mój karzełek wyśmiewa tu wszystkich z gruntu, a służba pęka ze śmiechu.

Wieczorem zabrałem się po kąpieli do obiadu. Umieją gotować, ale podają do stołu bardzo mało. Mówili mi, że to jest u nich na pięć osób. Oni wprawdzie nie są szachami, ale tyle pościć nie powinni. Do jedzenia używa się tu jak w Karlsbadzie i Wiedniu widelców, kłujących niemiłosiernie w język. Z powodu tych widelców cała moja świta ma pokaleczone języki. Owoce są tu doskonałe i dają się jeść. Zjadłem razem $1^1/_2$ korca a gdyby nie moja stara choroba żołądkowa, byłbym zjadł drugie tyle. Ich ogórkom wartoby poświęcić osobny rozdział.

Ludność tutejsza przyjmowała nas bardzo owacyjnie. Kilkaset, a nawet kilka tysięcy osób trzymało przed moim hotelem straż honorową w dzień i w nocy, a końska policya utrzymywała porządek między strażą. Jestto wogóle kraj widać bardzo zamożny, bo ludzie mają wiele czasu i prawie nic nie robią.

Ciekawi są także ci dygnitarze tutejsi. Tylko dwóch ze mną rozmawiało po francusku, reszta kiwała głowami. Nawet prezydent miasta, który był bardzo ładnie ubrany, a ma wąs prawie tak długi jak mój, nic ze mną nie mówił na dworcu a do hotelu nawet się nie pokazał, bo — jak mi mówiono — nie zna francuskiego ani nawet perskiego języka i nie mógłby się ze mną rozmówić.

Przez cały dzień dobijali się do mnie petenci z różnemi prośbami, ale ich nie dopuszczono przed moje oblicze, więc nie mogłem im pomódz. I jeszcze jeden ciekawy zwyczaj zauważyłem w tym kraju. Kupcy przepadają za orderami i lubią je tanio kupować. Za kasetkę pachnącej wody, którą tu nazywają perfumą, za koszyk cukierków chcieliby otrzymać order. Zapłaciliśmy pieniądzmi. Ordery rozeszlemy dopiero z drogi dla dygnitarzy i kelnerów. Kupców i fotografów nazwiemy nadwornymi dostawcami. Niech wszyscy wiedzą, że przejeżdżał tędy szach szachów, syn słońca, Muzzafer ed-Din i jego dwór.

Podczas przejażdżki przez miasto zauważyłem tyle brudów i kurzu, tyle sklepów, przekupek, błota, żołnierzy, psów, policyantów, żebraków, studentów, koni, fiakrów, afiszów, kamieni, dziur w ulicach, i ulic w dziurach, że chciałem płakać.

Teatr dał na naszą cześć przedstawienie, lecz nie poszliśmy. Jakieś Colosseum dało na naszą cześć przedstawienie, lecz nie poszliśmy. Byliśmy bowiem przez całe dwa dni zajęci tem, co w Galicyi jest najważniejsze, t. j. jedzeniem. Zakupów nie czyniliśmy wiele, bo tu strasznie zdzierają. Natomiast kupiliśmy dużo kart z widokami. Gospodarz hotelu, którego tak bardzo polubiłem, a dla którego żony byłem nawet bardzo grzeczny, pokazał w końcu, że jest galicyaninem. Wystawił mojemu marszałkowi rachunek na 48.000 koron za dwudniowy pobyt w hotelu. Trzeba było długich targów, zanim opuścił kilka koron. Inaczej nie byłby wypuścił naszych pakunków. Ale ogórki za to były doskonałe.

Po spaleniu markizy jakiemuś kupcowi i spożyciu ostatniego śniadania, wyjechaliśmy ze Lwowa, unosząc ze sobą miłe wspomnienia i dużo ogórków, pstrągów i truskawek.

Całe wrażenie odniosłem mniej więcej dobre. Krótka charakterystyka: miasto wojskowe i bardzo drogie, robi wrażenie twierdzy. Nawet panorama, jaką oglądałem, także jest wojskową. Gdyśmy wyjeżdżali, nieba płakały obfitym deszczem“.

Na tem urywa się dzienniczek podręczny szacha. Nie trzeba dodawać, że w wielu szczegółach syn słońca raczył się nawet rozminąć z prawdą. Wiele znów szczegółów pominął szach zupełnie.

Nie tu miejsce prostować wszystko. Jedna tylko rzecz oburzyć może każdego lojalnego obywatela. Oto uczyniono wiceprezydentowi p. Michalskiemu zarzut, **jakoby nie umiał po francusku**. Tylko z pobudek patryotycznych **nie chciał** wiceprezydent Michalski rozmawiać z szachem w innym języku, jak w polskim, a że szach polskiego języka nie zna, więc nie jest chyba winą p. Michalskiego, że się z nim nie mógł rozmówić. Jesteśmy przekonani, że gdyby nawet p. wiceprezydent znał język francuski, to jednak **nie byłby chciał** mówić z szachem po persku!

Nie wspomniał szach nic o tem, ile to pisano o nim w dziennikach, nie zauważył, że pod balkonem całemi godzinami wystawali reporterzy dziennikarscy (jeden nawet w prawdziwym fraku), węsząc na dole, co się dzieje na górze. Co się zaś tyczy spalenia markizy nad handlem p. Adamskiego, to dotąd goście perscy tej szkody nie wyrównali, o czem szach wiedział i był nawet tak bardzo wzruszony, że mu wieczorny obiad nie smakował. Rachunek p. Brzezickiego był co prawda nie bardzo skromny, ale królewski gość powinien był poznajomić się naprzód z drożyzną galicyjską, która nawet dla szacha jest dotkliwą.

Zresztą było wszystko w porządku. Persowie czuli się u nas jak w domu, co nie może nikogo dziwić, gdy się zważy, jak bardzo pokrewne są kultury perska i galicyjska. Chodzili od sklepu do sklepu, dużo kupowali, czasem kupowali i płacili, raz nawet jeden coś kupił i nie zapłacił zapewne przez pomyłkę. Nie mógł tylko szach zrozumieć, co to jest księgarnia. Pan Brzezicki mu to wytłómaczył w pocie czoła.

Tak więc miał Lwów cały orszak królewski w swoich murach z całą paczką egzotycznych dziwów i witał i gościł i żegnał wschodniego despotę, jak małego boga. Bo mówiono z początku, że szach jest ogromnie bogaty.

Zaraz po wyjeździe szacha poroztwierano wszystkie okna w hotelu Żorża, a zajmowane przez jego świtę pokoje wietrzą się dotąd bez skutku.

Tego samego dnia Lwów „chciał się“ utopić. Większość ulic pod wodą, w parterowych i suterenowych mieszkaniach stawy, tramwaje, powozy, konie w wodzie.

Szkoda, że szach perski nie zatrzymał się jeszcze przez piątek we Lwowie. Byłby mógł zanotować jeszcze coś ciekawego o naszej kanalizacyi. A może lepiej, że nic o niej nie wie.

Czekamy teraz na drugą ulewę. Będzie to deszcz orderów perskich. Ordery te mają tę dobrą stronę, że można je zastawić. Prawie wszystkie są wysadzane brylantami.

Te brylantowe ślady syna słońca będą podobno najjaśniejszą stroną wizyty perskiego monarchy.

Klewe.

Wędrowna Muza.

Oprócz scen poważnych, wielkich przybytków świętej sztuki, prócz wielkich ołtarzy i wielkich kapłanów, mamy i mniejsze, a dla „plebsu" dostępniejsze miejsca, gdzie kult Muzie bywa składany. Mówimy tu o drugo i trzeciorzędnych scenach, co do których skala wymagań jest o wiele niższa — pomimo tego jednak spełniają w skromnym swoim zakresie zadania swoje.

Typowym takim teatrem, „ludowym teatrem" *par excelence* jest lwowski teatr ludowy. Ciężki bo żywot takiego teatrzyku! Brak aktorów, brak repertuaru i ciągły niedobór kasowy składają się na jedną wielką tragi-komedyę. To też teatrzyki tego typu ratują swoją egzystencyę — wędrówkami po prowincyi, gdy stolica, gdzie kampanię sezonową odbywał — nie dopisała. Ratuje się podobnie i p. Pilarski, objeżdżając w miesiącach letnich okolice Lwowa. Dla prowincyi jestto bądź co bądź pewne odświeżenie, pewna dystrakcya w monotonii życia. Teatr, żeby nawet najmarniejszy, posiada dla niewybrednych obywateli Kikutowa lub Gnojnych Gór pewny urok, pewne „coś", co pobudza do czucia i myślenia. A i to nie jest mało!

Pan Pilarski ma tę zasługę, że założył i ukonstytuował ludowy teatrzyk, gdzie szerokie masy śmieją się i płaczą. W miesiącach letnich wyjeżdża „banda" — jak popularnie teatr p. Pilarskiego we Lwowie nazywają — na wakacye, t. zn. na wędrówkę, głód i nędzę prowincyonalną. Dyrektorowi trzeba przyznać, że umie aktorów trzymać w karbach, a repertuar przystosowywać do skromnych wymagań prowincyonalnej publiczności.

W numerze niniejszym podajemy zdjęcie trupy teatru ludowego z dyr. Pilarskim w pośrodku.



Wędrowna Muza: Trupa p. Pilarskiego z dyrektorem pośrodku.

GASTON CLOMNER.

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył **M. S.**

8 (Ciąg dalszy).

Helena smutnie skinęła głową. Po śmierci ojca cały świat był dla niej taki obojętny, taki pusty, że ostatecznie wszystko jej było jedno, gdzie swoją głowę przytuli. Wprawdzie możeby była wolała szukać przytułku u ludzi całkiem obcych, a nie u tego stryja, do którego nie miała ani zaufania, ani żadnego pociągu, ale zgodziła się na jego propozycyę, bo sama nie była w stanie o niczem innem myśleć, jak o ojcu, którego utraciła tak nagle i w tak straszny sposób.

I z miną istoty, której nawet to jest obojętne, gdy ją prowadzą na szafot, odparła, że jest gotową jeszcze tego samego dnia wyruszyć do miasta, w którem urodził się jej ojciec, a kędy Franciszek Springer stale przemieszkiwał.

Z głuchym łoskotem zatrzymał się pociąg na stacyi. Pan Springer wyglądnął przez okno i oświadczył Helenie, że cała jego rodzina przybyła na jej przyjęcie. I istotnie, ledwie młode dziewczę wyskoczyło z wagonu, otoczyły ją trzy osoby zwartem kołem. Każde miało dlań słowa współczucia i powitania, każde rwało ją i ciągnęło w swoją stronę, tak, że biedne dziewczę nie wiedziało wprost, co się z niem dzieje.

Wysoka, szczupła, koścista dama, której twarz zdobna w ogromny haczykowaty nos i drobne, głęboko w czaszce osadzone oczy przypominała sowę na pierwszy rzut oka, rzuciła się na Helenę, jak jastrząb na gołębia i dusząc ją w swych objęciach, nazwała ją swoją drugą najukochańszą córeczką. Lecz chociaż ta dama dokładała wszystkich starań, aby słowa jej nosiły cechę harmonijnego ciepła, to jednak brzmiał w nich tak wyraźnie teatralny patos, obliczony na efekt, iż młode dziewczę nie mogło się zdobyć na kilka wyrazów zdawkowego podziękowania. Nie miała zresztą na to czasu, bo z objęć kościstej damy wpadła odrazu w ramiona młodej dziewczyny, może o rok młodszej od niej, która zaczęła ją obsypywać pocałunkami i zapewnieniami gorącej miłości. A zaledwie Helena zdołała się oswobodzić z tych uścisków, już stał przed nią jakiś młody człowiek, który zrazu trzymał się nieco na uboczu, a teraz przedstawiwszy się jako jej kuzyn Cezar, ucałował obie jej rączki.

Helena całkiem bezwiednie pozwoliła kochanym krewnym robić ze sobą wszystko, co im się tylko podobało, ale odrazu uczuła, że jej jest jakoś nieswojsko między tymi ludźmi, a uczucie to wzrosło, gdy ją przywieziono do domu, w którym miała zamieszkać. Był to stary gmach, wzniesiony w dawnym stylu. Wązkie, ciemne schody łączyły pojedyncze piętra i skrzypiały tak boleśnie pod każdem stąpnięciem, jakby się chciały skarżyć, że mimo tylu lat służby, nie chcą im dać jeszcze spoczynku. Długie, ciemne korytarze, małe niskie izdebki, wybite ciemnemi tapetami, wywarły na młodem dziewczęcia deprymujące wrażenie. Helena, przyzwyczajona do wielkich, jasnych pokoi amerykańskich, urządzonych z komfortem i wszystkiemi możliwemi wygodami, tu zaledwie śmiała odetchnąć i czuła się kompletną niewolnicą.

W towarzystwie kościstej damy, która życzyła sobie nosić miano kochanej stryjenki Amelii, poprzedzana przez kuzynkę Albertynę, biedna sierota z trudem wywindowała się na drugie piętro, gdzie weszła do dwóch, nieco widniejszych izb, przygotowanych na jej przyjęcie.

— W tym pokoju miał mieszkać mój kochany szwagier, a twój, tak przedwcześnie zmarły ojciec — rzekła kochana stryjenka Amelia, podnosząc chusteczkę do twarzy, tak, jakby musiała łzy sobie otrzeć — ale teraz obie izdebki stoją do twojego rozporządzenia... Mało to, zapewne, bardzo mało, ale przynajmniej z sercem ofiarowane.

Helena wyszeptała kilka słów podziękowania, i poprosiła stryjenkę, żeby jej dano chwilę wypocząć, bo czuje się ponad wyraz zmęczoną.

— O! na tak tanią przyjemność mogę ci z ochotą pozwolić! — uśmiechnęła się kuzynka — ale mam nadzieję, że za godzinę zejdziesz na dół, aby zjeść razem z nami wieczerzę. Poznasz tam jeszcze jednego starszego pana, który jest jednym z najbardziej zaufanych przyjaciół naszego domu i codziennym naszym gościem. Tobie zwłaszcza powinien on być bardzo miły, bo kiedyś, gdy twój nieboszczyk ojciec — tu chustka stryjenki znów odegrała komedyę ocierania łez — był jeszcze w kraju, on należał do najwierniejszych jego obrońców i przyjaciół. Jestto doktor Harras, jeden z najbardziej cenionych adwokatów w naszem mieście!

Stryjenka, szeleszcząc jedwabiami, opuściła pokój i Helena wreszcie pozostała sama. Czuła się tak opuszczoną, taką nieszczęśliwą wśród tego otoczenia, że w duszy jej zrodziło się gorzkie życzenie, aby jaknajprędzej mogła ledz w mogile koło swojego ojca. Z głośnym płaczem utkwiła twarz w dłoniach i długi czas siedziała tak na fotelu, bez ruchu. Dopiero, gdy już pociemniało, gdy usłyszała na korytarzu głos wołającej ją Albertyny, zerwała się szybko, przemyła zapłakane oczy i poczęła ubierać się, aby zejść na dół do kolacyi.

* * *

Ceniony adwokat.

Jadalnia w domu Springerów w niczem nie różniła się od innych pokojów, bo była tak samo ciemna i niska, ponura i posępna. Jedna duża lampa, która zwieszała się u powały, nie oświecała jej dostatecznie i mrok nieprzyjemny rozpościerał się w kątach pokoju.

Gdy Helenka weszła do jadalni, cała rodzina siedziała już przy stole. Lecz, obok tych osób, które młode dziewczę poznało już na dworcu kolejowym, znajdował się jeszcze poważny, siwowłosy starzec, którego jej przedstawiono jako doktora Harrasa, wypróbowanego i najwierniejszego przyjaciela domu. Starzec ten bezwarunkowo robił ze wszystkich obecnych najlepsze wrażenie, bo oprócz wieku i postawy, które musiały wzbudzić w każdym szacunek, w pomarszczonej jego twarzy malowała się szczególna dobroć, skłaniająca nawet najpodejrzliwszych do zaufania.

Dla Heleny pozostawiono miejsce między starym doktorem, a jej kuzynem Cezarem, który podczas całej, bardzo sutej wieczerzy, nadskakiwał młodemu dziewczęciu i dokładał wszystkich starań, aby się jej przypodobać. Młody człowiek miał twarz zblazowaną, ale nie mniej piękną, a oczy jego, choć trochę za głęboko osadzone, przypominały Helenie oczy jej ojca. Nieprzyjemnym był tylko dla niej ich gorączkowy blask, który wywoływał rumieńce na jej twarzyczkę, ilekroć wzrok jej spotkał się ze spojrzeniem kuzyna. Prócz tego zauważyła, że kuzynowi, gdy podaje potrawy i nalewa wino, ręce się trzęsą tak, jak u schorowanego starca.

Stryj i stryjenka podczas jedzenia zachowywali milczenie i tylko Albertyna wraz z bratem podtrzymywała rozmowę, bo doktor Harras uśmiechał się tylko dobrotliwie i nic nie mówił. Wreszcie po godzinie powstano od stołu ku wielkiej radości Heleny, która jak najprędzej chciała już być samą. Stryj pod pozorem załatwienia korespondencyi opuścił natychmiast jadalnię, a za jego przykładem poszedł syn, żona i córka, tak, że Helena pozostała sam na sam z doktorem. Westchnienie ulgi wyrwało się z jej piersi, a nie uszło ono uwagi starca, który spojrzawszy badawczo na swoją sąsiadkę, przysunął się nieco do niej z krzesłem i odezwał się przyciszonym głosem:

— Z pewnością kilka minut spokoju ma dla pani niewypowiedziany urok, moje dziecko. Twoi kochani krewni pewnieby ci byli radzi nieba przychylić, ale ich żywość męczy ciebie tylko. Nie myśl, że i ja chcę być natrętnym! Nie! ale muszę pomówić z tobą o bardzo ważnych sprawach i to jak najprędzej, gdyż boję się, żeby ktoś niepowołany nie uprzedził mnie w tym względzie.

(Ciąg dalszy nastąpi).



BERTHOLD SCHIDLOF.

WŁAMYWACZ.

Szkic do powieści.

Z angielskiego przełożył **M. S.**

(Dokończenie).

Obok biurka na podłodze leżało kilkanaście kawałeczków zdartego jakby w gniewie lub rozpaczy papieru. Spojrzałem na te papierki i na pierwszy rzut oka poznałem w nich elegancki bristol listowy, pokryty kobiecem pismem.

Wiedziony ciekawością schyliłem się, pozbierałem szczątki tego listu skrupulatnie, i siadłszy przy biurku, zacząłem je układać w jedną całość. Po półgodzinnej pracy przekonałem się, że brak mi wielu kawałków, lecz i z tego, co złożyłem, mogłem już coś odczytać, a mianowicie tych kilka wyrazów:

„Dziś wieczorem... zamknięte... klucz... oderwać... wytłumaczę sama... przebacz... pożegnamy się na zawsze.... nie miej żalu.... musisz.... do widzenia.... *Connie*“.

Brakło mi daty tego listu, brakło mi adresu bliższego pięknej śpiewaczki, więc też odrazu zrozumiałem, że jej nie znajdę i że nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zwrócić się wprost do Ralfa i od niego samego zażądać wyjaśnienia całej tej tajemniczej a tak tragicznej sprawy.

Wyrobiłem więc sobie pozwolenie odwiedzenia Ralfa w więzieniu i postanowiłem, że bądź co bądź zmuszę go, aby odkrył mi miejsce pobytu Connie i za mojem dyskretnem pośrednictwem zażądał od niej pomocy w tem ciężkiem położeniu.

Ale zaledwie wspomniałem o tem, w oczach jego zabłysnął gniew. Szorstko odmówił mej prośbie, a potem z tkliwością, jakiej jeszcze nigdy u niego nie widziałem, prosił mnie, żeby Connie nigdy nie mieszać do tej afery.

Co więcej, wprost zakazał mi jej szukać i nie pozwolił powiadomić o swoim losie, a prócz tego zaklął mnie, abym nie mieszał się do tej sprawy i zostawił ją własnemu przebiegowi, jeśli tylko zależy mi jeszcze na jego przyjaźni.

Błagałem go, aby mi opowiedział bliższe szczegóły swego uwięzienia, na naszą starą, serdeczną przyjaźń zaklinałem go, aby mi powiedział, że jest niewinny, że padł ofiarą jakiejś podłej intrygi lub strasznej pomyłki.

Ralf zmarszczył wówczas czoło i wzruszył obojętnie ramionami. Powiedział mi tylko, że został schwytany przez samego pana domu, przez milionera Vicersby i że nie ma nic a nic na swoje usprawiedliwienie, przyczem dodał, iż z całym spokojem czeka na wyrok, w którym sędziowie uznają go za winnego zbrodni usiłowanego morderstwa.

A skoro wówczas zawołałem prawie z rozpaczą, że nigdy nie mogę uwierzyć w jego winę i że przekonany jestem, iż mógłby się obronić, gdyby tylko chciał, roześmiał się wesoło, podziękował za dobre mniemanie o sobie, raz jeszcze poprosił, abym się wcale nie troszczył o niego i uścisnąwszy dłoń moją z uczuciem, powrócił do swojej celi.

Opuściłem więzienie wzruszony do głębi serca. Teraz byłem przekonany, że Ralf jest niewinny, że jakaś tajemnica zamknęła mu usta i nie pozwala mu się bronić. I mimo jego zaklęć, postanowiłem go zrehabilitować jeszcze przedtem, nim wyrok zapadnie.

Nie wiedząc jednak sam, co mam na razie uczynić, aby dojść do wytkniętego celu, powziąłem zamiar pójść wprost do państwa Vicersby i z ich ust dowiedzieć się jakichś bliższych szczegółów aresztowania Ralfa.

Powziąwszy to postanowienie, nie zwlekałem z jego wykonaniem i udałem się do wspaniałego pałacu, zamieszkiwanego przez milionera.

Służący, któremu oddałem mą kartę wizytową, oświadczył mi, że pana niema w domu, lecz, że zastałem panią Vicersby i zapytał, czy ma mnie jej zameldować.

Odpowiedziałem, że interes, który mnie tu sprowadza, mogę równie dobrze załatwić z panem, jak i z panią Vicersby i prosiłem, aby zechciał zawiadomić ją o mojem przybyciu.

Służący znikł z moją kartą w głębi, a ja zostałem w przedsionku i czekałem cierpliwie.

Cierpliwość moja jednak nie została wystawioną na długą próbę. Po chwili bowiem usłyszałem szelest jedwabiów, atłasów i koronek. W drzwiach stanęła młoda, cudnej urody kobieta, która mimo wybladłej twarzy, mimo troski, zarysowującej zmarszczki na jej alabastrowem czole i od łez zaczerwienionych, odrazu poznałem.

Była to Connie Calciuno, niegdyś śpiewaczka operetkowa.

Zaprowadziła mnie do swego buduaru, urządzonego z iście wschodnim przepychem i tam, wśród rozpaczliwego łkania, opowiedziała mi całą prawdę. Teraz zrozumiałem wszystko, teraz pojąłem, dlaczego ten szlachetny, wielkoduszny, rycerski Ralf przyjął na siebie zarzut tak ciężkiej zbrodni, dlaczego z takim spokojem oczekiwał wyroku.

Znałem Ralfa i wiedziałem, do jakich poświęceń był skłonny, więc nie dziwiłem się temu nawet wcale.

Ralf nie wiedział nic o tem, że Connie oddała swą rękę panu Vicersby, nie tyle idąc za głosem serca, jak raczej patrząc trzeźwo w przyszłość i chcąc sobie stworzyć życie bez trosk wśród dostatków.

Tymczasem Connie dowiedziała się o jego powrocie do Nowego Jorku i chcąc go po raz ostatni uściskać, chcąc pożegnać się z tym, którego kochała, pożegnać się na wieki podczas nieobecności swego męża, zaprosiła go do siebie.

Tymczasem najniespodziewaniej zjawił się wówczas w domu pan Vicersby. Ralf w żaden sposób nie chciał skompromitować Connie i, by ocalić jej cześć, jej stanowisko, poświęcił własny honor: zagrał rolę włamywacza i jako taki został uwięziony.

— — — — — — — — — — — — — — —

Cóż miałem robić?

Czy pozwolić, żeby Ralf dla tej kobiety nosił do śmierci piętno złodzieja na sobie?

Nieprawdaż, to byłoby dopiero ładnie i szlachetnie!

Gdybym zaś ogłosił prawdę?...

Sprawiedliwość jest sprawiedliwością i chyba nikt mi za złe nie weźmie, że miałem więcej sympatyi dla Ralfa, że bliższy był on mojemu sercu, niż pan milioner Vicersby i urocza pani Connie, która dla zatrzymania milionów, odważyła się korzystać ze szlachetności i poświęcenia Ralfa.

Państwo Vicersby „ze względu na nadwerężone swe zdrowie“, bawią od tego czasu stale w Europie, a Ralf, mój kochany, poczciwy Ralf jest jednym z najbardziej wziętych i sławnych inżynierów w Nowym Jorku.

KONIEC.

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarady.

I.

Szarada cztery zgłoski zawiera:
Pierwsze litera, *drugie* litera,
I *trzecia* również, lecz ją znajdziecie
Li tylko w greckim alfabecie.
Trzecie i *czwarte* cenny dar przyrody,
Wzbogaca ludzi jak i narody,
Całość oznacza kontynent, który
Jest dzisiaj wzorem ludzkiej kultury.

II.

Pierwsze, drugie, trzecie zawarte w tym rymie
Oznacza nadzwyczaj poetyczne imię,
Samo *drugie* zwane jest inaczej kasta,
Tak pośród wieśniaków jak i ludzi z miasta
A *trzecie* zaimek jest w drugiej osobie,
Używam go zawsze, gdy mówię o tobie.
Pierwsze, czwarte znaczy, kto nie pieszo chodzi,
Lubują się w sporcie owym ludzie młodzi.
Piąte wieszcz, co wielbił zwyczaje szlacheckie,
Chociaż polak, jednak imię miał niemieckie.
Całość miasto słynne z swego położenia,
Łączą się z nim różne i ważne wspomnienia.

Zadanie konikowe.

ciem	że	ko	niem	po	truch	now	mięć
wie	wy	śród	jak	ców	pa	wspo	leje
cięż	ne	ło	leję	mnie	o	mi	ma
sło	cza	ko	o	styn	ne	w ży	rych
go	za	wić	po	su	któ	pu	błęd
tę	na	su	nych	braw	cia	ła	cze
cier	zna	drów	ję	ne	łem	szy	puszcz
ce	knie	nio	laz	wę	te	dzi	się

Kryptogryf kryształowy.

Poprzestawiać litery, aby w otrzymanych 11-tu wyrazach środkowe szeregi, poziomy i pionowy, czytane z góry na dół i od lewej strony ku prawej, utworzyły imię i nazwisko poety polskiego.

a
a a a
c c c d d
e e e e e i i
k k k l l l l i i
m n n n n n n n n o
o o o p p p r r r
s t t t ó w w
w w w w y
y y y
z

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska 2. Rzeka w Afryce. 3. Imię żeńskie. Miasto w gub. siedleckiej. 5. Miasto w Prusiech Wschodnich. 6. Imię i nazwisko poety polskiego. 7. Imię męskie. 8. Miasto w Ameryce. 9. Miasto w gubernii płockiej. 10. Budynek 11. Spółgłoska.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych, przeznaczamy M. Zycha **„Rozdzióbią nas kruki wrony.“**

Rozwiązania z Nru 24.

Szarady: I. Uroda. — II. Wojewoda.

Logogryf: Ludwik Kondratowicz. — Staropolskie roraty.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: Z. Gocka Rożniatów, J. Ramoszyńska Borysław, pp. Fiałkiewiczowie Sądowa Wisznia, St. Dobrzyniecki Widynów, W. Kamiański Sokal. J. Andrzejewski Kraków, P. Piasecki Rzepińce ad Buczacz, W. Haldziński Lichwin, J. Biegoń Ślemień, M. Rożański Nowy Sącz, Stadnik Grabiny, A. St. Bassara Niwiska, J. Badura Rożdzień Górny Śląsk, T. Domain Sanok, H. Mokrzycka Turbia, K. Chodkiewicz Zbydniów, W. Kisielewski Stryj, St. Łaszkiewicz Słotwina, L. Przewoźniczek Sieniawa, Fr. Josefert Kraków, G. Zehnwirth Klimkówka, R. Żabka Biała, M. Fiedlerówna Rozwadów, H. Rzepecka Pieniaki, M. Arbesbauer Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Stanisław Łaszkiewicz w Słotwinie. Prosimy o nadesłanie 50 halerzy na koszta przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Ideał.

— Wiesz, Nacia powiedziała, iż nie wyjdzie za mąż, dopóki nie znajdzie swego ideału.

— A kto może rościć pretensye do tego miana?

— Ten, kto pierwszy oświadczy się o jej rękę.

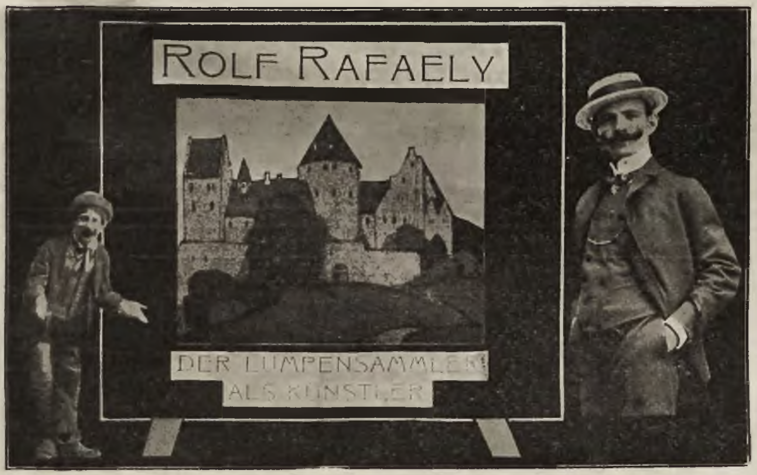
Z PARKU KRAKOWSKIEGO



EMIL HAUPT
HUMORYSTA.



MAN DE WIRTH.





MR. LIONELLY
NOWOCZESNY MEFISTOFEL.

Nowości w bluzach, halkach i bieliźnie

M. Beyer i Spółka
Kraków
Sukiennice l. 12, 13, 14





Ubrania na zamówienia od 20 złr.

Ubrania gotowe od 10 złr.
Fraki, surduty od 20 złr.
wyrób krajowy

Kraków, ul. Floryańska 7 tuż przy Rynku.
Filia: Lwów, pl. Halicki 7 14

Związek katolickich Krawców.

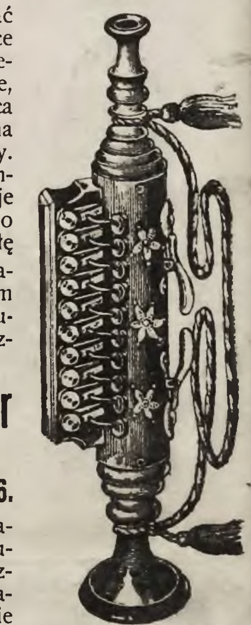
BEZ NAUCZYCIELA!
BEZ NAUKI I BEZ ZNAJOMOŚCI NUT!


Nr. 134.

może każdy grać na mojej trąbce samogrającej i flecie: pieśni, tańce, i marsze. Poleca się szczególnie na wesela i zabawy. Do każdego instrumentu dodaje się darmo łatwo zrozumiała szkołę. Przesyłka za zaliczką przez dom wysyłkowy instrumentów muzycznych

A. Scheuer w Krakowie ul. Grodzka 59/6.

Bogato ilustrowane cenniki instrumentów muzycznych oraz zabawek na żądanie darmo i opłatnie.

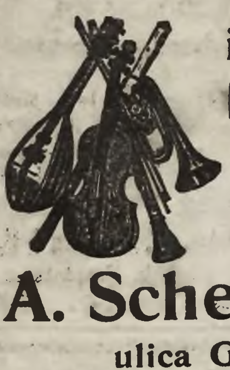

Nr. 135.

Nr. 134. Trąbka samogrająca ma 10 klawiszy, 20 głosów, 2 klapy basowe, 36 cm., złr. 1·10, 3 szt. złr. 3.

Nr. 135. Flet na 10 klawiszy, 20 głosów, 2 klapy basowe, fason cylindrowy, 40 cm., złr. 1·50, 3 szt. złr. 4.

INSTALACYE i BLACHARSTWO
wodociągi, ogrzewania, gazowe oświetlenia
wykonuje fachowo, praktycznie i tanio, konc. firma:
Julian Tokar, Kraków, św. Jana 10 (Grand Hotel)

Darmo i opłatnie otrzyma każdy mój bogato
illustrowany cennik
Instrumentów muzycznych
oraz różnych
ZABAWEK




A. Scheuer, Kraków
ulica Grodzka l. 59/6. 7-52

Kart widokowych
z każdej miejscowości podług fotografii, rysunku, dla p. p. księgarzy, kupców, Kółek rolniczych, dostarcza w artyst. wykonaniu, szybko i taniej niż w Niemczech
Henryk Frist, Kraków
właśc. konces. przez c. k. Namiestnictwo Salonu artystycznego.



Na żądanie wysyłam **wielki CENNIK illustrow. zegarów**, wyrobów jubilerskich z chińskiego srebra i t. p.
F. Pamm, Kraków
ul. Zielona 3, II. p:

Lodownie pokojowe,
Lodownice amerykańskie,
Formy na lody,
Siatki druciane od much,
Żelazka do prasow. na spirytus
poleca
Tom. Górecki, Kraków.

UNIWERSALNY
ORGAN INFORMACYJNY
„Informator“
Kraków, ul. Szpitalna 34
poleca:
Wykazy wolnych posad i zajęć.
Wykazy majątków ziemsk. i realności celem sprzedaży kupna i dzierżawy.
Wykazy wolnych mieszkań i lokali do wynajęcia, tudzież
Wykazy letnich mieszkań.
Prenumerata wynosi: rocznie 12 K, półr. 6 K, kwart. 3 K. Pojedynczy numer 50 hal.
Zgłoszenia wolnych posad i zajęć przyjmuje redakcya bezpłatnie i z wdzięcznością.

Eleg. spodnie spacerowe złr. 2·50
poręczonej doborowej jakości, trwałe, posiadające najnowszy fason, solidny kolor i nienaganny wiedeński krój, sprzedajemy **za bezcen** jedynie z powodu olbrzymiego zapasu; przy odbiorze **2 par złr. 4·75.** Przy zamówieniu wystarczy podać całą długość, objętość w pasie i długość w kroku. Wysyłka za zaliczką lub za poprzedniem nadesłaniem pieniędzy przez
Dom Exportowy ubiorów męskich i dziecinnych
KRAKÓW, GRODZKA 31.
Nieodpowiednie zamienia się bez jakichkolwiek trudności. Każde zamówienie na miarę z garderoby męskiej i dziecinnej zostanie również bardzo szybko i rzetelnie po najtańszych cenach fabrycznych uskutecznione. Aby się każdy mógł przekonać, o naszych niezrównanie niskich cenach, prosimy uprzejmie o zamówienie próbne i o liczne zwiedzanie naszego składu fabrycznego
Kraków, ul. Grodzka 31. — Dostawcy związku c. k. urzędników państwowych. — Filie w Łańcucie i w Gorlicach. 2 10-29



Spłaty cześciowe!
dozwolone za poprzedniem ustnem lub listownem porozumieniem się.
Bezsprzecznie największy wybór!
Renomowana i powszechnie znana firma

Dom towarowy „AU LOUVRE“
we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6 (Pasaż Hausmana)
poleca swój obfity i bogato zaopatrzony skład wszelkich możliwych gatunków dywanów (także kościelnych i przed ołtarze) dywaników, portyer, firanek, chodników, kap na stoły i łóżka, cerat, linoleum, kołder, koców, der na konie oraz wszystkich innych przedmiotów dekoracyjnych po nader niskich cenach konkurencyjnych.
Za nadesłaniem nam marki pocztowej za 10 h. wysyłamy nasze bogato illustrowane cenniki, w których są opisane także towary lniane i bawełniane, bielizna męska i damska, szyfony, płótna, bielizna stołowa i inne ważne artykuły, w zakres domowego gospodarstwa wchodzące. Zlecenia z prowincyi załatwia się odwrotnie.
By ujść pomyłkom, prosimy na nasz adres dokładnie zważać.
Z poważaniem Zarząd firmy:
Dom towarowy „Au Louvre“
Lwów, Sykstuska 6.

Na sezon obecny polecamy P.T. cyklistom znakomite rowery i koła motorowe słynnej marki:
„PUCH RAD“
firmy: JAN PUCH
PIERWSZE STYRYJSKIE TOWARZYSTWO AKCYJNE FABRYKI ROWERÓW W GRACU.
Na składzie utrzymujemy również **rowery** fabryki:
„METEOR“
jakoteż wszelkie przybory rowerowe w wielkim wyborze.



Libmann i Machauf
Kraków, ul. Lubicz 7.

Aparaty fotograficzne, zawsze świeże klisze, papiery oraz wszelkie inne przybory fotograficzne poleca po cenach nader niskich
Niemetz i Sp.
w Krakowie,
Szewska l. 2 pierwszy dom od rynku.

BIURO
NAUCZYCIELSKIE
Stefanii Łapszów z Trembeckich Zwilling
Kraków, ul. św. Jana l. 2 róg Rynku Głównego
poleca:
Nauczycielki, Guwernantki, Nauczycieli, Guwernerów oraz Wychowawczynie i Bony różnej narodowości.

CUKIERNIA
Kazimierz Sotschek
LWÓW
poleca się P. T. Publiczności.
Bufet w teatrze miejskim.
Wszelkie zamówienia wykonuje odwrotną pocztą.

Posiadacze losów
mogą u nas dostać za nie pełny kurs dzienny i na życzenie te same losy (tj. te same numera) grając na nie bez przerwy, nabyć na dogodne spłaty miesięczne. Losy gdziekolw. zastawione, wykupujemy i przeprowadzamy powyższą transakcyę. Polecamy uprzejmie naszą firmę do wszelkich obrotów bankowych. Kupno i sprzedaż obligacyj, losów, i monet. — Ajentów żadnych nie wysyłamy. — Kalendarzyk bankowy bezpłatnie.
Schütz i Chajes, Dom bankowy we Lwowie, plac Maryacki 7.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.